Rok III. Lwów, dnia 1 kwietnia 1897. Nr. 7.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

PO WYBORACH W GALICYI.

Niedawno ukończone wybory do Rady państwa, z dwóch względów zasługują na szczególną uwagę, rezultat ich bowiem oznacza nietylko pewną zmianę w naszych stosunkach wewnętrznych, ale zarazem określa stanowisko przedstawicielstwa polskiego w życiu politycznem Austryi.

Przedewszystkiem przypomnieć trzeba rezultat wyborów. Do Rady państwa w Wiedniu wysłała Galicya 58 posłów, którzy wejdą do Koła polskiego, 3 ludowców, 6 stojałowczyków, 2 socyalistów i 9 Rusinów, z których 6 należy do stronnictwa ugodowego. W najgorszym więc razie, jeżeli ludowcy do Koła nie wstąpią, będzie ono liczyć, wraz z ks. Świeżym 59 posłów, czyli 3 więcej, niż w poprzedniej kadencyi. Jest to przyrost niewielki, bo na ogół przybyło 15 posłów z Galicyi. Będzie jednak Koło po klubie młodoczeskim najsilniejszem stronnictwem i znaczenia politycznego nie utraci, bo Rada państwa przedstawia dziwną mieszaninę, kilkunastu stronnictw większych lub mniejszych, które zapewne nieprędko połączą się w poważniejsze grupy. Stosunek liczebny niemieckich stronnictw jest taki, że rząd zawsze znaleźć może większość i dowolnie tworzyć rozmaite kombinacye, ale nie może się obyć bez poparcia Czechów i Polaków. Te dwa stronnictwa narodowe muszą być podstawą każdej trwałej większości rządowej, chociaż właściwą barwę polityczną będzie jej nadawać uzupełnienie niemiecko-liberalne lub klerykalno-antysemickie. Stanowisko Koła w Radzie państwa nie zmieniło się więc właściwie, pozostanie ono ważnym i wpływowym czynnikiem, a nawet wobec rozbicia się stronnictw niemieckich mogłoby pozyskać większe znaczenie, niż miało dotychczas.

Czy z tych pomyślnych warunków potrafi skorzystać — to inna sprawa. Skład przedstawicielstwa polskiego zmienił się znacznie, wybrano bowiem obecnie w Galicyi 40 nowych posłów, w tej liczbie dwudziestu kilku członków Koła. Trudno dziś powiedzieć, jaką siłę, a nawet jaki kierunek polityczny przedstawiają nowi posłowie, bo sankcya Komitetu centralnego niewiele w danym wypadku znaczy. Komitet, chcąc utrzymać swoją zachwianą powagę, zatwierdzał każdego kandydata, który się do niego zgłosił. Tyle tylko wiadomo, że skrajny zachowawczy kierunek w Kole został osłabiony, że lewica liberalno-demokratyczna liczy więcej niż 20 członków. Niektórzy utrzymują nawet, że gdyby ludowcy i stojałowczycy przystąpili do Koła, zachowawcy znaleźliby się w mniejszości, jeżeli nie we wszystkich, to w wielu ważnych sprawach, dotyczących stosunków galicyjskich. Ma się rozumieć, może tu być mowa jedynie o demokratyzmie i liberalizmie bardzo umiarkowanym, w duchu programu lewicy sejmowej.

Odnowiony w znacznej części skład Koła nie rokuje jednak nadziei, że polityka jego, przedewszystkiem zaś stosunek do rządu, zmienią się zasadniczo. Gdzieindziej, z wyjątkiem może Niemiec, zawsze rząd stosować się musi mniej lub więcej do żądań tych stronnictw, które go popierają. Koło polskie było dotychczas bezwzględnie rządowem, stosowało się zawsze, chociaż czasem niechętnie do życzeń rządu, solidaryzowało się z jego polityką. W zamian za tę uległość otrzymywało czasem coś dla kraju, częściej dla warstwy rządzącej, najczęściej dla swych członków i koteryi, blizko z nimi związanych.

Dziecinną niedorzecznością byłoby wymaganie, żeby Koło polskie zajęło stanowisko opozycyjne względem rządu. Każde stronnictwo, nie mające celów rewolucyjnych, dąży w państwie konstytucyjnem do tego, żeby stać się stronnictwem rządzącem, a więc w pewnem znaczeniu rządowem. Ale dąży do wskazanego celu dlatego właśnie, że chce mieć możność urzeczywistnienla swoich zadań i interesów. Koło polskie, jako stronnictwo polityczne i jako przedstawicielstwo narodu, nie ma żadnego programu określonego, boć nie jest programem popieranie rządu i wyjednywanie pewnych korzyści dla kraju w sprawach bieżących, jeżeli można tak się wyrazić. Nie jest nim również dążenie do pozyskania wpływu na rząd dla załatwiania pomyślnego rozmaitych interesów publicznych i prywatnych.

Dosyć zresztą zaznaczyć, że Koło nie zdobyło się dotychczas na ustanowienie lub bodajby tylko zasadnicze określenie stosunku Galicyi do państwa, chociaż czy to jako stronnictwo polityczne, czy tembardziej jako przedstawicielstwo narodowe powinno było to uczynić. Nie rozwodzimy się nad tą sprawą, o której oddzielnie należałoby pomówić, dodamy tylko, że polityka narodowa polska nie może opierać się na stwierdzeniu faktu przynależności państwowej lub na lojalnym ogólniku, że »stoimy i stać chcemy« przy dynastyi i rządzie.

Członkowie Koła, zadowoleni z rezultatu łowów na mandaty, zdaje się, nie czują i nie rozumieją, że opinia publiczna, o ile to było możliwem, oświadczyła się przeciw dotychczasowej polityce. Zwycięztwo tej polityki słusznie ktoś nazwał zwycięztwem pyrrhusowem. Można powiedzieć, że komitet centralny, który jest widomem tej polityki przedstawicielstwem, dotkliwą poniósł porażkę. Pomimo nacisku na wyborców, pomimo nadużyć władzy, które zresztą nie przekraczają praktykowanej w Galicyi normy, w 5 okręgach piątej kuryi i 9 czwartej, kandydaci komitetu centralnego zostali pobici. W wielu okręgach pozornie tylko ocalił on swoją powagę zatwierdzeniem kandydatur kompromisowych. Wszędzie zaś kandydaci opozycyjni mieli znaczną mniejszość, lub nawet bezwzględną większość głosów, którą utracili dopiero przy wyborach ściślejszych.

W Galicyi zachodniej w czwartej kuryi w dwóch okręgach tylko nie przeszli kandydaci stronnictw ludowych, w Galicyi wschodniej Rusinom opozycyjnym brakowało do zwycięztwa niewielkiej liczby głosów. Zasługuje na uwagę fakt, że w okręgach ruskich głosowało 96% ogólnej liczby wyborców, kiedy w polskich tylko 86%. Wobec tego, że lud ruski jest mniej niż polski uświadomiony politycznie, cyfry te, zdaniem naszem, oznaczają, że do walki wyborczej stronnictwo rządzące wyprowadziło w Galicyi wschodniej wszystkie rezerwy, któremi rorporządzać mogło, a jednak w wielu okręgach tylko dzięki nadużyciom zwyciężyło swoich przeciwników lub, dzięki temu, że agitacya ruska przybrała charakter antypolski wskutek czego chłopi polscy na Rusi głosowali zazwyczaj za t. zw. «kandydatem narodowym«.

Takie frazesy, jakie czytaliśmy np. w dziennikach zachowawczych z powodu wyborów we Lwowie, że zdrowa opinia publiczna potępiła zamach na solidarność narodową i oświadczyła się za dotychczasową polityką Koła — działać mogą chyba tylko na naiwnych czytelników. Ale politycy w Kole są ludźmi trzeźwymi i znają wartość istotną tego rodzaju frazesów. Gdzie, jak we Lwowie, kandydaci komitetu centralnego, pomimo wytężonej agitacyi, nie przebierającej w środkach, i niewątpliwie stwierdzonych nadużyć, zwyciężają kilkuset głosami na 5.500 głosujących, tam nie można mówić, że mają za sobą opinię publiczną. Gdyby było trochę więcej poszanowania prawa podczas wyborów, gdyby przeciwnicy mieli trochę lepszą organizacyę, gdyby w miastach wystąpili kandydaci niezależni, mający odpowiednie kwalifikacye — jedyną warownią polityki Koła pozostałaby kurya wielkiej własności. Zwycięztwo przypadkowe, okupione dotkliwemi stratami, zależne w znacznej mierze od niedostatecznej sprawności przeciwników, jest właściwie porażką, a już w żadnym razie nie daje powodu do tryumfów.

Można mówić o porażce stronnictwa ludowego, jako organizacyi politycznej, ale ruch ludowy, w szerszem znaczeniu tego wyrazu, odniósł niewątpliwie zwycięztwo, chociaż nie tak stanowcze, jak się spodziewano. Sprawę tego ruchu, tego dążenia ludu do zdobycia zaprzeczanej mu samodzielności politycznej i społecznej, trzeba odróżniać do pewnego stopnia od sprawy stronnictwa ludowego. Sądzimy, że nawet ludzie, biorący czynny i bezpośredni udział w organizacyi tego stronnictwa, po pewnym namyśle, po wyłączeniu pobudek osobistych, nie mogą uważać zwycięztwa stojałowczyków lub nawet socyalistów za porażkę tej sprawy, której służą, dla której szczerze pracują. Stronnictwo musi uważać tę drogę, którą wskazuje ruchowi ludowemu, za najlepszą, za najprędzej i najpewniej prowadzącą do celu, t. j. do dobycia samodzielności politycznej i społecznej, ale zarazem musi tak silnie wierzyć w konieczność historyczną zwycięztwa tego ruchu, że nie powinno obawiać się zbaczania jego na manowce, bo wcześniej czy później wróci on na tor właściwy.

Nie wiemy, czy nasz pogląd na tę sprawę podzielają w zupełności ludzie, kierujący organizacyą stronnictwa ludowego, ale twierdzimy, że podzielać go powinni, tembardziej, że w znacznej mierze sobie samemu, t. j. swoim błędom lub brakom przypisać musi stronnictwo względne niepowodzenie.

Mówiliśmy już poprzednio o braku należytej organizacyi, który się uwydatnił podczas wyborów. Zaniechano np. zwoływania wieców w okresie wyborczym, właśnie wtedy, kiedy były najpotrzebniejsze. Najlepszego, właściwie jedynego agitatora, jakiego ma stronnictwo, postawiono na kandydata na posła w okręgu wątpliwym, z czego wynikło, że p. Stapiński ani swojej własnej sprawy nie dopilnował, ani mógł dopilnować agitacyi wyborczej w innych okręgach. Stronnictwo nie ma takich agitatorów poświęconych, jakich liczą na setki socyaliści i w obecnym swoim stanie mieć ich nie może. Prawda, że ks. Stojałowski zwyciężył, działając na własną rękę. Ale korzystał on z pomocy socyalistów i posiada wśród ludu popularność osobistą i powagę wielką, której nikt nie ma w stronnictwie ludowem, chociaż są w nim ludzie szczerze sprawie oddani i równie zasłużeni.

Do tych błędów formalnych, którym nie przypisujemy zresztą wielkiego znaczenia, zaliczamy też stawianie kandydatur chłopskich, wogóle niewłaściwych przy wyborach do Rady państwa i skazanych z góry na porażkę w wielkich okręgach V kuryi. Takich chłopów, którzy byliby popularni lub bodaj tylko znani w 5, 6 powiatach, nie ma w stronnictwie ludowem, nie ma chyba w całej Galicyi, z wyjątkiem może Bojki. W V kuryi zwyciężył jeden kandydat (Winkowski), a stanął do ściślejszego wyboru drugi (Stapiński), którzy obaj należą do inteligencyi. Nawet w IV kuryi, zdaniem naszem, trzeba było w miarę możności unikać kandydatur chłopskich, zachodzi bowiem obawa, że posłowanie stanie się przedmiotem zyskownej spekulacyi na 10 guldenowe dyety. Zresztą kandydatury chłopskie demoralizują wyborców, wywołują nieuzasadnione pretensye, wytwarzają zawiści, jakich ofiarą padł np. Wójcik w okręgu krakowskim.

Poruszamy te szczegóły dla wykazania, że nawet w obecnych warunkach mogło było stronnictwo ludowe pozyskać kilka mandatów więcej, ale właściwe przyczyny jego niepowodzenia leżą głębiej, w błędach zasadniczych, które należy usunąć, w brakach, które należy uzupełnić co rychlej.

Zanadto rachowano — do tego błędu i my w pewnej mierze się przyznajemy — na rozbudzenie świadomości politycznej ludu. Działalność młodego stronnictwa była — bo zresztą musiała być wobec zbiegu w krótkim okresie czasu potrójnych wyborów — niemal wyłącznie agitacyjną. Ten agitacyjny charakter działalności zaszkodził teraz stronnictwu ludowemu, bo przelicytowano je poprostu krzykliwemi hasłami, które, jak się okazało, znajdują chętny posłuch wśród ludu. „Głosowaliśmy na księży — nic nam dobrego nie wyrobili; teraz będziemy na Rusina, a jak to nie pomoże, to będziemy na Żyda, a jak to nie poskutkuje, to już chyba trza na dyabła.“ Tak pisze w *Pszczółce* jeden ze zwolenników ks Stojałowskiego, formułując w ten sposób nastrój psychologiczny znacznej części wyborców. Prowadzona od dwóch lat agitacya, która właściwie wciąż była agitacyą wyborczą, z natury swej musiała obałamucić rozwijający się dopiero zmysł polityczny ludu, skrzywić jego pojmowanie sprawy publicznej. Ludowi się wydaje, że wszystkiemu winien jest rząd, i że wszystkiemu zaradzić mogą posłowie, byle tylko chcieli. Posłowie, należący do stronnictwa ludowego od dwóch lat siedzą w Sejmie, a nic, coby chłopu ulżyło, nie zrobili, trzeba więc wybrać innych posłów, chociażby tych np, których poleca ks. Stojałowski, bo tamci, jak on mówi — to zdrajcy, zaprzedali się stańczykom.

Agitacyjny charakter działalności dotychczasowej uniemożliwił rozwinięcie programu pozytywnego, którego dotychczas nie ma jeszcze stronnictwo ludowe.

Program „rzeszowski“ nie jest tak lichym, jak twierdzą przeciwnicy stronnictwa, ale jest to program agitacyjny, złożony z postulatów luźnych, nie związanych jedną myślą przewodnią, nie uzasadnionych należycie.

Kierownicy stronnictwa hołdują słusznej zasadzie, że program prawdziwie demokratyczny nie powinien wychodzić z założeń z góry zaznaczonych, ale powinien być wyrazem uświadomionych dążeń i uznanych potrzeb ludu. Lecz ten program trzeba uogólnić, uzasadnić teoretycznie — dla inteligencyi, a dla ludu ująć w proste i jasne formuły, w hasła, zrozumiałe dla mas Takich haseł stronnictwo nie dało, przeciwnie, jak gdyby unikało ich. Gdyby miało oddawna wytknięty, określony program działania, mogłoby się obejść bez nich, ale w agitacyi, w walce wyborczej były one konieczne. Kiedy w Galicyi w kuryi V i IV zwyciężali demokraci socyalni i sprzymierzeni z nimi stojałowczycy, w Wiedniu, gdzie niewątpliwie ludność jest więcej wyrobioną politycznie, pobiło socyalistów stronnictwo, które miało właśnie takie popularne hasło. Nie twierdzimy, że w danych warunkach stronnictwo ludowe powinno było wystąpić w duchu antysemickim, ale jesteśmy najmocniej przekonani, że gdyby np. dr. Mikołajski nie wypierał się swoich przekonań antysemickich, owszem, gdyby wyraźnie je zaznaczył, nie zwyciężyłby wprawdzie Daszyńskiego, ale miałby za sobą kilka tysięcy głosów więcej.

Stronnictwo ludowe, kiedy należący do niego posłowie nabrali doświadczenia i pozyskali pewien wpływ w Sejmie, kiedy wybory do rad powiatowych umocniły jego stanowisko, zrozumiało konieczność przystąpienia do pracy pozytywnej i zapewne byłoby wytworzyło odpowiedni program działalności, gdyby miało czas po temu i większy zasób sił inteligentnych. Ale nadeszły wkrótce wybory do Rady państwa, wypadły właśnie w chwili, kiedy stronnictwo zawracać zaczynało z dotychczasowej drogi na nowe tory, przechodzić od jałowej, wyłącznie agitacyjnej działalności do pracy pozytywnej. Nie mogło zaś dokonać wcześniej i zaznaczyć wyraźniej tego zwrotu z powodu braku sił inteligentnych A ten brak sił wynikał znowu z braku programu ściśle sformułowanego i uzasadnionego teoretycznie, programu, który mógłby ludzi do stronnictwa przyciągać i jednoczyć i do pracy przez lud dla ludu zapalać. Stronnictwo ludowe zdobyło sobie w szerokich kołach inteligencyi, zwłaszcza zaś w kołach młodzieży sympatyę i uznanie, ale nie miało i mieć nie może dziś większej liczby ludzi, którzyby program jego przyjęli i w myśl tego programu działali.

I to zaznaczyć trzeba, że łatwo pozyskana sympatya powszechna zaszkodziła raczej, aniżeli pomogła stronnictwu. Można powiedzieć, że stronnictwo ludowe zawcześnie zwyciężyło opinię publiczną, zwyciężyło prawie bez walki. Iluż to ludzi, w gruncie rzeczy najrozmaitszych przekonań, wyraża uznanie dla ruchu ludowego, ilu nawet przyznaje się do programu stronnictwa, ale z zastrzeżeniem pewnych w nim zmian. Toć nawet przeciwnik Lewakowskiego i Rewakowicza dr. Dulęba oświadczył, że z pewnemi zastrzeżeniami na program stronnictwa się zgadza.

Tylko w walce zaciętej, tylko w zapasach ustawicznych z przeciwnikami wyrobić się może stronnictwo polityczne, uwydatnić swój program, utrwalić swoje stanowisko odrębne. Stronnictwo ludowe czasem jak gdyby chciało wycofać się z zapasów, czasem znowu wszczynało walkę niepotrzebną, a raczej mniej potrzebną, bo ataki jego zwrócone były głównie przeciw rządowi, kiedy przedewszystkiem należało wytężyć siły dla złamania przewagi stronnictw, panujących w kraju. Wprawdzie rząd daje tym stronnictwom poparcie, ale nie ono stanowi główną ich siłę.

Wykazaliśmy mniej więcej wszystko, co, naszem zdaniem, było przyczyną niepowodzenia stronnictwa ludowego w ostatniej walce wyborczej. Zdanie nasze wyraziliśmy jasno i otwarcie dlatego właśnie, że z tem stronnictwem solidaryzujemy się więcej, niż z jakiemkolwiek innem. W chwili pewnego przełomu w jego działalności niezbędną jest krytyka życzliwa, ale stanowcza. Nie rościmy sobie przywileju nieomylności zdania, może więc w niektórych punktach pogląd nasz okazać się błędnym. Sądzimy jednak, że w ogólnych zarysach ocena działalności stronnictwa jest trafną.

Mówiliśmy wyżej ogólnie o błędach i brakach stronnictwa, tu zaznaczymy tylko, że były to w znacznej części błędy i braki nieuniknione, niezależne od czynników osobistych

Ta okoliczność niepomyślna, że stronnictwo ludowe zdobyło tylko trzy mandaty, może poniekąd wpłynąć dodatnio na dalszy rozwój jego działalności. Chociażby miało nawet kilkunastu posłów w Radzie państwa, nie wywierałoby w niej przy istniejącym układzie stronnictw poważnego wpływu. Zadaniem posłów ludowych jest hamowanie reakcyjnych dążności Koła i poruszanie tych ważnych spraw krajowych, dla których Koło jest obojętnem. Rola ich jest z konieczności dosyć ograniczoną, a wykonywać ją mogą tem łatwiej, że w wielu, jeżeli nie we wszystkich ważniejszych wypadkach występować będą solidarnie z nimi stojałowczycy i prawdopodobnie nawet posłowie socyalistyczni. Wątpimy, czy będą mogli utrzymać chociażby faktyczną solidarność z Kołem polskiem, ale bez ważnego powodu zrywać jej nie powinni, jak również nie powinni solidaryzować się zbyt pochopnie i ściśle z domniemanymi swymi sojusznikami, z których socyaliści mają przedewszystkiem na celu swoje odrębne interesy, stojałowczycy zaś nie dają żadnej rękojmi, że będą postępować rozumnie i taktownie.

Uwolnione na czas dłuższy od gorączkowej agitacyi wyborczej, musi stronnictwo ludowe uświadomić sobie konieczność zasadniczych zmian w swej działalności. Jakkolwiek słabą jego stronę stanowi organizacya, nie jest ona obecnie najpilniejszem zadaniem. Stokroć pilniejszem i ważniejszem jest sformułowanie i uzasadnienie programu, pogłębienie dążeń stronnictwa, a następnie w duchu tego programu polityczne oświecanie ludu. który dużo jeszcze potrzebuje pracy w tym kierunku, i wyrabianie jego samodzielności społecznej. Poprzestając na tych uwagach ogólnych, które wkrótce rozwiniemy obszerniej, zaznaczymy jeszcze, że zarówno w teoretycznej, jak i w praktycznej działalności stronnictwa jest niezbędnem, zdaniem naszem, jasne i śmiałe uwydatnienie jego dążeń, bez ustępstw i kompromisów szkodliwych, bo zawczesnych. Licząca się z rzeczywistością działalność polityczna nie może obejść się bez kompromisów, ale myśleć o nich trzeba wtedy dopiero, kiedy się ma siły. Słabe stronnictwo nie zawiera kompromisu z mocniejszem, ale mu się poddaje. Stałość zasad, a nawet bezwzględność jest najpewniejszą tarczą ochronną młodych, rozwijających się stronnictw.

Dotychczasowe stronnictwa nie mają już w sobie sił żywotnych i nieraz zapewne zechcą odświeżyć się za pomocą kompromisu z młodem stronnictwem ludowem, zwłaszcza skoro poczują, że porażka wyborcza nie osłabiła go bynajmniej. Wskutek nieuniknionego

rozkładu tych stronnictw z czasem odpadać od nich zaczną grupy i ludzie, wykazujący pewne powinowactwo przekonań z dążeniami stronnictwa ludowego. Otóż we wszelkich tego rodzaju stosunkach pochopność do kompromisu okazać się może dla niego zgubną, chociaż na razie obiecywać będzie korzyść. Podczas walki nie kwalifikuje się sojuszników, ale do działalności zorganizowanej i według określonego planu prowadzonej wybierać trzeba tylko pracowników pewnych i wypróbowanych.

ROZWÓJ EKONOMICZNY I KULTURA NARODOWA.

Niedawno toczyła się w prasie warszawskiej ciekawa dyskusya. Jedno z pism zachowawczych wyprowadziło program uprawianej przez się polityki ugodowej z rzuconych u nas przed laty trzydziestu haseł t. zw. pracy organicznej, na co odpowiedziało parę pism zachowawczych i postępowych, zaprzeczając tym wywodom słuszności w sposób mniej lub więcej stanowczy. Zabrali też głos ludzie, którzy w swoim czasie byli pionierami »pozytywizmu« i »pracy organicznej«, a w urzędowym swego czasu organie tych kierunków, *Przeglądzie tygodniowym*, ukazał się szereg artykułów, mających wyłuszczyć poglądy »pozytywistów« na politykę ugodową. Z artykułów tych trudno się istotnie dowiedzieć, czem się właściwie pozostali przy życiu przedstawiciele programu »pracy organicznej« różnią od t. zw. ugodowców, pozytywiści bowiem warszawscy, którzy ongi bardzo kategorycznie przemawiali do społeczeństwa, dziś wypowiadają się bardzo niewyraźnie i chwiejnie, traktując nadto rzeczy bardzo powierzchownie.

Tymczasem między ugodowcami i organicznikami istnieje rzeczywisty łącznik, a łącznikiem tym jest zasada, stawiająca za cel dążeń narodu jego dobrobyt materyalny, jego rozwój ekonomiczny. Zasadą tą wojują nieustannie menerzy i zwolennicy polityki ugodowej, głosząc ją z niezachwianą pewnością siebie, jako aksyomat, niepodlegający dyskusyi.

W rzeczy samej, uchodzi ona za aksyomat wśród wielu, a przedewszystkiem wśród pokolenia, wychowanego w zasadach naszego pozytywizmu, przesiąkniętego więc do szpiku kości racyonalizmem, nie rozumiejącym, by cokolwiek, co nie jest faktem namacalnym, mogło być celem samym w sobie, nie zdolnym ani uczuć, ani pojąć doniosłości czynników emocyonalnych, i traktującym wskutek tego wszelkie zjawiska życia społecznego nawskróś syllogistycznie. Materyalizm owego pokolenia każe mu w narodzie za jedyny stały moment uznać jego bogactwo, a syllogistyczny kierunek jego myśli — rozpatrywać pojęcia ekonomicznych sił narodu i kultury narodowej jako dwie odrębne wielkości. Tego rodzaju audytoryum nietrudno, jeżeli nie przekonać, to przynajmniej w nielada kłopot wprowadzić dowodzeniem o konieczności zbliżenia się z Rosyą ze względu na żywotne interesy naszego rozwoju ekonomicznego. To też i *Przegląd tygodniowy*, który po dziś dzień nie przestał wierzyć w pozytywizm i pracę organiczną, choć nie ma żadnych specyalnych powodów do zaciągnięcia się pod sztandar ugodowy, nie może ostać się wobec siły »faktów«. Perkaliki nasze najlepiej sprzedaje się w Rosyi, a przytem zjazdy młynarzy, rolników, górników etc. w Petersburgu i Niżnim Nowogrodzie, z których decyzyami rząd się rachuje.. Wreszcie kolej syberyjska, dobrze płatne posady na wschodnich kresach państwa i rola Rosyi w koncercie europejskim...

My wszakże pozwalamy sobie wątpić o doniosłości tych faktów. Czegoż bowiem dowodzą one? W rzeczy samej niczego więcej po nad to, że centra naszego przemysłu, zarówno jak i wszelkie inne na tym bożym świecie centra przemysłowe eksportują swe towary najchętniej tam, gdzie z jak najmniejszą spotykają się konkurencyą i dokąd transport jest najtańszym, a następnie, że przemysł nie krępowany prawami wyjątkowemi, nie regulowany ręką żandarma, swobodniej może się rozwijać, niż znajdujący się w odwrotnej sytuacyi. Stąd wszakże daleko jeszcze do konieczności zbliżenia się z Rosyą w sensie, proponowanym przez p. Spasowicza. Nie mówiąc już bowiem o tem, że najłatwiejsze do zdobycia zewnętrzne rynki zbytu nie zawsze oznaczają jedyny, a nawet niezawsze najkorzystniejszy dla rozwoju gospodarczych sił kraju kierunek handlu wywozowego, i że wątpliwem jest, czy udział naszych przemysłowców w zjazdach i pracach rosyjskich fabrykantów i kupców skłoniłby tych ostatnich i rząd, do uwzględniania potrzeb ekonomicznych ludności polskiej — powinniśmy raz wreszcie zrozumieć, że: 1) interes gospodarstwa narodowego, a interes wielkiej produkcyi, to rzeczy różne; 2) że ostatni bynajmniej nie jest identyczny z większymi zyskami klasy kapitalistycznej i 3) co najważniejsza, że niema nigdzie na świecie jakiegoś samego w sobie istniejącego od całokształtu życia kulturalnego poszczególnych społeczeństw oderwanego organizmu ekonomicznego, że niema jednem słowem gospodarki innej, prócz narodowej, i że normalny jej rozwój jedynie i wyłącznie w parze z normalnym rozwojem wszystkich narodowych sił iść może.

Nie są to pojęcia nowe. Już Adam Smith zaznaczał sprzeczność interesów przemysłu i reprezentującej go klasy kapitalistów; gdy bowiem postęp sił gospodarczych wyraża się w coraz niższej stopie procentowej, fabrykanci i kupcy chcieliby ją widzieć jak najwyższą. Cała bez wyjątku klasyczna ekonomia na zdanie to godziła się i godzi. Nie brakuje też teoretyków nauki ekonomicznej, którzy gorąco protestowali przeciwko utożsamieniu interesów wielkiej produkcyi i produkcyi narodowej. Doświadczenie doby bieżącej daje nam znakomity dowód na potwierdzenie ich poglądów. Szwajcarya to najbogatszy dziś kraj w Europie; przeciętny dobrobyt jej mieszkańców stoi wyżej niż gdziekolwiekbądź indziej; eksport jej przewyższa stosunkowo o 50% niemal wywóz Anglii a o 100% przeszło wywóz Francyi — tymczasem rozmiary jej wielkiego przemysłu znacznie są mniejsze, niż nawet w Niemczech i Austryi. Toż samo możemy powiedzieć i o punkcie trzecim. Od czasów Fryderyka Lista i Roschera ustaliło się w całej niemal zachodnio-europejskiej nauce ekonomicznej pojęcie gospodarstwa narodowego (*Nationalökonomie*) wycieśniając stworzone przez szkołę angielską pojęcie gospodarstwa politycznego (*politische Ökonomie*). Twierdzenie o ścisłym związku spraw ekonomicznych z całokształtem życia narodowego wydaje się tam tak jasnem, że się o niem już nawet nie dyskutuje. Krótka analiza historyczna, dokonana przed 60 laty przez Lista, w której sprowadził on przyczyny ekonomicznego upadku »Hanzy«, miast włoskich, Hiszpanii do wspólnego źródła a mianowicie do braku silnej świadomości narodowej i niedostatecznej łączności ekonomicznych ich dążeń z ich

narodowemi aspiracyami, następnie zaś rozumowania Roschera i Kniesa na temat, że każde zjawisko ekonomiczne odmienną przybiera formę zależnie od miejsca i czasu — wystarczyły, by raz na zawsze usunąć, uniemożliwić traktowanie spraw ekonomicznych niezależnie od ich narodowego gruntu. Lecz pocóż szukać obcych bogów. Toć na kilka lat jeszcze przed Listem głosił u nas Skarbek naukę »gospodarstwa narodowego«. Lecz narówni z innymi polskimi ekonomistami (a mieliśmy i to wcale dzielnych) poszedł on w niepamięć. Pozytywiści nasi czerpali *en bloc* swą wiedzę z zachodu, a tam już kwestya kosmopolityzmu i nacyonalizmu w ekonomii politycznej zeszła była z porządku dziennego. Inne sprawy i inne pytania poruszały umysły, przedewszystkiem zaś zagadnienia stosunku wielkiej do drobnej produkcyi, koncentracyi kapitałów, walki proletaryatu z burżuazyą. W toku dyskusyi tych i sporów polemicznych, zwycięztwo przechylało się coraz wyraźniej na stronę doktryn, przyjmujących za punkt wyjścia przewagę wielkiego kapitału nad drobnym. W umysłach naszych »popularyzatorów wiedzy« zrodziło się stąd przeświadczenie że postęp gospodarczy równoznaczny jest z rozwojem wielkiego przemysłu i wielkiego handlu, a ponieważ wiedzę swą zapożyczali przedewszystkiem z prac »głośnych«, stojących na stanowisku wyraźnie partyjnem, czy to burżuazyjnem, czy też robotniczem, utożsamiali więc interes wielkiej produkcyi z interesem właścicieli wielkich przedsiębiorstw. Nie zauważyli oni wobec tego, że skonstatowaną została jedynie konkurencyjna przewaga wielkiej wytwórczości nad drobną, że zatem większy jej rozwój oznacza postęp gospodarczy tylko wtedy, gdy ma miejsce w zakresie produkcyi, mogącej przyjąć formy fabryczne, że żaden poważny badacz zjawisk ekonomicznych nie przeczył nigdy, by mogła istnieć cała sfera działalności gospodarczej, w której możliwą i korzystną jest wyłącznie drobna produkcya i że nikt również nie myślał twierdzić, by dla dobrobytu krajowego korzystniejszym był rozwój gałęzi przemysłu, nadających się do wielko-kapitalistycznej produkcyi, niż tych, w których zakresie może rzemieślnik i chłop zachować swą ekonomiczną samodzielność.

Wiadomo, jakie skutki miało owo »popularne« rozumienie spraw gospodarczych. Dziesiątki lat młodzież nasza była zapatrzona na rynki rosyjskie, dokąd fabrykańci nasi eksportowali swe towary. Z początku marzyła ona o cywilizacyjnym podboju Rosyi i w każdym kupcu, sprzedającym produkty Warszawy i Łodzi nad Wołgą, w każdym lekarzu, inżynierze, adwokacie, robiącym majątek w centrze państwa, widziała szermierza sprawy narodowej. Potem, gdy hasła pracy organicznej poczęły bankrutować, dyskutowała z zapałem kwestyę zbytu perkalików naszych na rynkach pod- i zauralskich, uzależniając od takiego lub innego jej rozwiązania ostateczną decyzyę: czy rozwój społeczny Królestwa pójdzie tą samą drogą, co na zachodzie, czy inną, albo też czy narodowej, czy międzynarodowej polityki trzymać się winniśmy.

Dziwna ironia losu! Słyniemy w Europie a nawet i w Rosyi, za marzycieli, idealistów, naród nie umiejący robić majątku (i w rzeczy samej majątki u nas robią tylko Niemcy i Żydzi), a niema pod słońcem drugiego społeczeństwa, którego inteligentne warstwy miałyby taką bałwochwalczą cześć dla słów, »postęp ekonomiczny«, jak właśnie u nas, specyalnie w zaborze rosyjskim. Gdzieindziej ludzie starają się popierać przemysł i handel, troszczą się o rozwój swych sił gospodarczych, lecz myślą o tych rzeczach w ten sam sposób, w jaki zajmują się sprawami swej literatury, sztuki, nauki, administracyi państwowej, moralności narodowej, hygieny ludowej, dyplomacyi i t. d., traktują oni sprawy ekonomiczne narówni ze wszelkimi innymi przejawami narodowego życia. U nas inaczej! Według naszych, »wolnych od przesądów« umysłów, sprawy gospodarcze stoją po nad całokształtem kultury narodowej, jako jej cel i dyrektywa.

Że w ten sposób myślą przedstawiciele wielkiego kapitału, identyfikujący swe interesy z interesami nietylko gospodarstwa narodowego, lecz i całego narodu — to rzecz zrozumiała i jasna. Lecz że pogląd ten wyznaje znaczna większość naszych sfer inteligentnych — świadczy to bardzo smutnie o naszem ekonomicznem wykształceniu.

Jeżeli bowiem nie da się z jednej strony zaprzeczyć, że jedynie naród ekonomicznie silny może zająć poważne stanowisko w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości, to z drugiej strony również jest pewnem, że rozwój gospodarczy każdego społeczeństwa w jaknajściślejszej znajduje się zależności od całokształtu jego narodowej kultury.

Nawet stosunki wartościowe, ów najabstrakcyjniejszy wyraz życia ekonomicznego, kształtują się różnie w rozmaitych warunkach kulturalnych. Zależność ta najsłabiej przejawia się w dziedzinie produkcyi fabrycznej, w której zakresie wartość mierzy się ilością przeciętnie niezbędnej pracy społecznej. Lecz i tu istnienia jej nie da się całkiem zaprzeczyć. Wydajność bowiem pracy robotnika bynajmniej nie jest jednakową we wszystkich społeczeństwach. W krajach, w których lud się lepiej odżywia, i silniejszym jest fizycznie, *ceteris paribus* jest ona większą. Toż samo ma miejsce, gdy naród jest pracowitszy, wstrzemięźliwszy w używaniu napojów alkoholicznych. Czasami jednak na większą produkcyjność pracy wpływają czynniki wręcz odwrotnego gatunku — pewne cechy charakteru, właściwe narodom mało uspołecznionym, jako to posłuszeństwo, wrodzone klasom niższym, lekceważenie przez pracodawców życia i zdrowia robotników i t. d. We wszystkich tego rodzaju wypadkach, przy reszcie równych warunków, ilość pracy społecznie niezbędnej dla wyprodukowania towarów mniejszą będzie, i to tym bardziej, im powyższe cechy kultury narodowej silniej będą rozwinięte. Co prawda, maszyna niweluje w części te różnice, lecz zato tym silniej odbija się na stosunkach wartościowych stan umysłowy robotnika. W społeczeństwach, w których poziom oświaty jest wyższym na obsłużenie więcej skomplikowanych maszyn potrzeba znacznie mniejszego nakładu pracy. Co więcej, niektóre maszyny mogą być zastosowane tylko w tych właśnie więcej cywilizowanych społeczeństwach, gdyż albo są zbyt złożone, by mógł ich używać mało rozgarnięty robotnik, albo wymagają wyższego wykształcenia technicznego niższych urzędników fabrycznych, albo wreszcie nie opłacają się tam, gdzie robotnik jest nadmiernie tani. Od większego wszakże lub mniejszego zastosowania maszyn zależy stosunek kapitału stałego do zmiennego, wpływający znów ze swej strony na wysokość stopy wartościowej*). Wreszcie, na co zbyt mało dotychczas zwracano uwagi, ów czas społecznie niezbędny nie wszędzie mierzy się jednakową miarą.

---

*) Przypuśćmy że na wytworzenie towaru A potrzeba 10 godzin czasu. Godzina czasu = 5 groszom. Zastosowanie maszyny redukuje pracę robotnika do 5 godzin. Przypuśćmy dalej, że maszyna zużywa się każdorazowo przy produkcyi towaru

Wogóle możemy przyjąć regułę, że tym ściślejszą jest ta ostatnia, im naród jest więcej cywilizowany, im jest pracowitszy, im intensywniejsze jest jego życie kulturalne. Dla Szwajcara, Francuza, Niemca, Anglika — każda godzina czasu ma swoją wartość. Słowak natomiast, Bułgar, Moskal, Chińczyk zaledwie dnie biorą w rachubę. A wiadomo, jaka to elastyczna rzecz dzień roboczy.

Wpływ powyższych czynników jeszcze silniej odzwierciadla się w stosunkach wartościowych produktów rolnictwa, ogrodnictwa, hodowli i przemysłu artystycznego, nie będąc krępowanym przez działanie maszyny. Zręczność robotnika i pieczołowitość odgrywają tu ważniejszą rolę niż w dziedzinie produkcyi fabrycznej. Nie bez znaczenia jest tu też stosunek wielkiej posiadłości rolnej do drobnej, i siła ekonomiczna ostatniej. Warunki bowiem hodowli, a w części nawet produkcyi zbożowej i ogrodownictwa zasadniczo są różne w większych majątkach, niż w zagrodach chłopskich, szczególnie, gdy ostatnie średnich tylko dosięgają rozmiarów. Gdy wytwórczość pierwszych jest nawskróś towarowa, gospodarka drugich posiada w znacznym bardzo stopniu charakter naturalny, będąc obliczoną przedewszystkiem na bezpośrednie zaspokojenie potrzeb rodziny włościańskiej. Sprzedaje się tylko przewyżkę, by było za co opędzić konieczne wydatki. Ponieważ, przytem w zakresie wspomnianych gałęzi gospodarstwa narodowego nakład pracy nie idzie w parze z jej wydajnością, lecz ostatnia zależy od całej masy warunków przyrodniczych, na wartość więc odnośnych wytworów wpływają nietylko warunki ich produkcyi, lecz i przypisywana im przez konsumentów użyteczność. Użyteczność zaś ta różną jest, zależnie od zwyczajów, gustów, upodobań i zamożności narodu. Tak np ciemne gatunki mąki, równie pożywne, jak białe, mimo to nie są lubiane na zachodzie, mają też tam znacznie mniejszą wartość, niż na Węgrzech, Ukrainie i w południowej Rosyi, gdzie je ludność chętnie konsumuje; owce grubowełniste wyżej są szacowane w górskich krajach, których ludność żywi się mlekiem i serem owczym, niż na nizinach, gdzie jedynie wełnę ich możnaby zużytkować; średnie gatunki win więcej są cenione w krajach północnych, gdzie się je jako przedmiot zbytku traktuje, niż na południu, gdzie stanowią one rzecz codziennego użytku itd. itd. Najwyraźniej wszakże zarysowuje się przed nami wpływ całokształtu kultury narodowej na wartość, gdy zwrócimy uwagę naszą na szacunek towarów, nie będących zupełnie wytworami pracy ludzkiej jak np. ziemi. W szeregu czynników warunkujących jej wartość znajdziemy i ogólny stan dobrobytu narodowego, i stosunek wielkiej do drobnej własności ziemskiej, i większe lub mniejsze upowszechnienie się systemu dzierżawnego, i stopień przedsiębiorczości mieszkańców kraju, i techniczne wykształcenie rolników, i tradycyjne dążności ziemiaństwa, i społeczne jego stanowisko w narodzie, i przywiązanie ludu do ziemi, i zamiłowanie do zbytku u klas wyższych i t. d.

Przejdźmy teraz do konkretniejszego zjawiska cen. Oczywista, stosuje się do niego niemal to wszystko, co było powidziane o wartości. Należy tylko zaznaczyć, że ściślejszą tu jest jeszcze zależność ekonomii od stopnia i charakteru cywilizacyi narodu. Stan bowiem życiowej i politycznej kultury robotnika, jako też i stopień uspołecznienia klas średnich i wyższych, decydują w znacznej mierze o mniejszych lub większych kosztach produkcyi, a zamożność całego narodu, wrodzona mu skłonność do oszczędności lub rozrzutności, wreszcie skala jego potrzeb zarówno materyalnych, jak i duchowych, nadaje taki lub inny kierunek zapotrzebowaniu i podnosi je na odpowiedni stopień intensywności.

Prócz tego wpływa jeszcze na ukształtowanie się rynku mniejsza lub większa ilość pośredników, drobnych handlarzy, t. j. stopień zbliżenia konsumentów z producentami, będącego wyrazem ekonomicznej samodzielności i gospodarczego wyrobienia i przedsiębiorczości narodu.

Uwarunkowane w ten sposób ogólnym stanem cywilizacyjnym narodu wartości i ceny towarów oddziaływają ze swej strony na stosunek wielkiej do drobnej produkcyi, na specyalny rozwój tych lub innych gałęzi przemysłu, na stopę procentową, na wysokość renty gruntowej itd Wszystkie te zjawiska ekonomiczne znajdują się wszakże i pod bezpośrednim wpływem usposobień narodu, jego charakteru i cywilizacyi. Tak np. istnienie starej, wyrobionej kultury chłopskiej sprzyja zawsze wytworzeniu się silnego, rentującego przemysłu drobnego, dowodem Szwajcarya, Dania, dolne Węgry. Natomiast niski bardzo stopień uspołecznienia włościan daje pole do rozwoju t. z. *kułactwa* i rzemiosł wędrownych. Wyższa stopa potrzeb ludności skłania przemysłowców do konkurowania za pomocą dobroci swych wytworów, gdy w razie przeciwnym hasłem ich staje się *schlecht aber billig*. Oczywista, wpływy te silniejsze są w zakresie drobnej, niż wielkiej produkcyi. Lecz i ostatnia nie jest od nich niezależną. Początkowe bowiem stadyum jej rozwoju — to wytwarzanie dla rynku krajowego i wtedy dopiero, gdy dostatecznie na nim się wzmocni, może ona korzystnie walczyć na rynku wszechświatowym. Wnosi więc ona nań pewien swój specyficzny narodowy charakter. Tem się też tłomaczy na pozór niezrozumiałe zjawisko, że pomimo panującej już od 16 lat ogólnej nadprodukcyi, kraje, których przemysł wywozowy w ostatnich dopiero czasach począł się rozwijać, jak np. Bułgarya, Węgry, niektóre państwa południowej Ameryki, Skandynawia, bynajmniej nie uskarżają się na brak zbytu dla swych wytworów. Dostarczają one bowiem na rynek międzynarodowy towarów nowych, różnych od poprzednio na nim będących, odpowiadających pewnej sferze potrzeb, specyalnie rozwiniętych w ich własnem społeczeństwie, lecz mających i gdzieindziej, choć w mniejszym stopniu, miejsce, albo też będących wytworem pracy, do której dany naród więcej od innych jest uzdolnionym.

Uwagi powyższe nie wyczerpują bynajmniej całej kwestyi narodowego charakteru ekonomii politycznej. Zaznaczyliśmy zaledwie najważniejsze jej punkty — i to nie wszystkie.

Wystarcza tego jednak, ażeby kategorycznie twierdzić, że normalny rozwój ekonomiczny możliwy jest jedynie na gruncie normalnego rozwoju wszystkich sił narodowych, zarówno ogólno-kulturalnych jak i politycznych, zarówno tych, co się w spontanicznej działalności społeczeństwa przejawiają, jak i krystalizujących się w machinie państwowej. Jak dalece ważną jest państwowa samodzielność narodów dla ich postępu ekonomicznego — dowodem tego Węgry. Do 67 roku były one pod względem gospodarczym kompletnem zerem. A przecież rząd austryacki, kierujący się w swej

---

A na 25 groszy. Jest to suma maksymalna. Gdy zostanie przekroczona, maszyna nie może być zastosowaną. W tych 25 groszach mieści się wszakże prócz płacy roboczej i koszt materyału, z którego została zbudowaną t. j. renta gruntowa, i dochód od kapitału. Jeżeli stopa wyzysku = 100%, to owych 25 groszy = 2½ godzinom pracy. Towar A. = 7½ godz. pracy.

polityce ekonomicznej zasadami dawnej kameralistyki, starał się wedle sił i możności o dobrobyt swych poddanych. Lecz stosował on wszędzie miarkę austryacką, popierał wielki przemysł dlatego, że był wielkim. Było to odpowiedniem dla Wiednia, lecz nie dla Węgier, to też usiłowania, podjęte przezeń w tym kierunku, żadnych nie przyniosły owoców. Rząd węgierski natomiast zrozumiał, że siła ekonomiczna jego narodu nie w mieście lecz na wsi się znajduje, otoczył więc swą opieką przedewszystkiem gałęzie przemysłu, przetwarzające wytwory rolnictwa: gorzelnictwo, młynarstwo, cukrownictwo i produkcyę drobną. W ten sposób stworzył on poważny przemysł w miastach i ochronił rolnictwo od kryzysu, rujnującego dziś w całej Europie zarówno wielkiego właściciela ziemskiego, jak chłopa.

Jeżeli więc faktem jest, że Łódź i Sosnowiec najłatwiej sprzedają swe towary w Rosyi — to stokroć ważniejszym dla nas jest faktem, że ekonomiczny postęp całego naszego społeczeństwa, a nietylko, jak to dziś ma miejsce, paru kolonii fabrycznych, założonych przez fabrykantów niemieckich, dopiero wtedy stanie się możliwym gdy będziemy mieli zapewniony swobodny rozwój naszej kultury narodowej, w jaknajszerszem tego słowa znaczeniu. *G.*

LISTY WARSZAWIAKA Z GALICYI.

VI.

Rusini. Sposób traktowania sprawy. Ruch narodowo kulturalny nad Dnieprem i ruch polityczny w Galicyi. Społeczny charakter ruchu. Synowie chłopscy i duchowieństwo. Udział ludu.

Czyniąc zarzut Galicyi, że przy swoim obszarze i zaludnieniu, a zwłaszcza przy pomyślnych warunkach politycznych, zamałą gra rolę w ogólno-polskiem życiu narodowem, zapominamy zwykle o tem, że połowa ludności tego kraju nie jest właściwie polską i dla Polski pod względem narodowym dziś wartości nie wiele przedstawia.

Dwie trzecie części powierzchni kraju pod względem etnograficznym stanowią Ruś — ludność wiejska jest tu ruską, Polacy zaś stanowią mniejszą lub większą do niej domieszkę i większą część chrześcijańskiej ludności miast.

Właściwie to, co nazywamy życiem narodowem, jest dziś jeszcze wyłącznym prawie wytworem warstw oświeconych, czyli t. zw. inteligencyi, etnograficzny więc charakter ludu nie ma tu tak wielkiego znaczenia, czego dowodem chociażby Francya, której prowincye, z ludnością, niezmiernie różniącą się pod względem etnograficznym, wszystkie składają się na francuskie życie narodowe. To prawda — i Ruś czerwona też nie jest krajem pozbawionym dla polskiego życia narodowego wartości, na całym bowiem jej obszarze mamy sporo inteligencyi polskiej, w miastach i dworach szlacheckich; ale, z drugiej strony, kraj ten nigdy nie był w tym stopniu polskim, co np. Bretania lub Prowancya francuskim, przez krótszy bowiem okres dzielił z Polską wspólny byt państwowy, nie tak ściśle był związany politycznie z właściwemi ziemiami polskiemi skutkiem mniejszego w Polsce centralizmu państwowego, wreszcie po pierwszym już rozbiorze dostał się pod panowanie rządu niepolskiego, który w następstwie świadomie dążył do wyodrębnienia Rusi, do zrobienia jej prowincyą niepolską. Skutkiem tego, gdy chłop w Bretanii lub Prowancyi uważa siebie za Francuza — poczuwając się zresztą do plemiennej od innych Francuzów odrębności — Rusin galicyjski poczucia tego, że jest Polakiem, nie ma, choć tradycya polska tu istnieje i chłop ziemię, na której mieszka, uważa za polską. Co prawda, to główną przyczyną tego poczucia odrębności od Polaków jest odrębna organizacya kościoła ruskiego, katolickiego wprawdzie, ale pozostającego przy obrządku wschodnim. Wiadomo przecie wszystkim, że w potocznej mowie Rusinem nie nazywa się syn plemienia ruskiego, używający mowy ruskiej, ale katolik obrządku greckiego. Dzieci jednej rodziny dzielą się tu często na Polaków i Rusinów, odpowiednio do tego, za kim z rodziców poszły w obrządku.

Skutkiem wszystkich tych przyczyn, a przedewszystkiem skutkiem tego, iż rząd austryacki robił, co mógł, ażeby w Galicyi wytworzyć ruski separatyzm, rozwinął się tu w połowie bieżącego wieku ruski ruch narodowy i dziś widzimy w Galicyi znaczną ilość inteligencyi, nie uważającej się za Polaków, a nawet skrajnie wrogo dla Polaków usposobionej, występującej zawsze jako Rusini w znaczeniu członków »narodu« ruskiego. Zająwszy to stanowisko, inteligencya ruska weszła odrazu w ostry konflikt z Polakami, konflikt, który z natury rzeczy, wbrew wszystkiemu, co się dla politycznej przyzwoitości mówi, musi się zaostrzać, bez względu na to, jakiej taktyki będą się trzymali Polacy — czy będą ruch dostępnymi dla siebie środkami dusili, czy też dawali mu folgę.

Istnienie ruchu ruskiego jest faktem wielkiej doniosłości, ruch ten odbija się bardzo silnie na życiu galicyjskiem, odsłaniając w miarę rozwoju coraz nowe swe strony, niemniej wszakże nasze lenistwo umysłowe pozwala nam patrzeć na jego powierzchnię tylko, bez wnikania w głąb rzeczy i wszyscy tu w traktowaniu go zadowalniają się zdawkowymi, pospolitymi ogólnikami. Właściwie biorąc, to, co się tu publicznie mówi i pisze o sprawie ruskiej, zarówno z polskiej, jak z ruskiej strony, jest jednem, ciągłem kłamstwem. Z jednej i drugiej strony kłamie się uczucia, myśli, zamiary, dążenia, kłamie się z dobrą lub złą wiarą, ale tak czy owak prawda zostaje pod spodem. A tymczasem ruch ruski jest zjawiskiem bardzo pouczającem i gdybyśmy starali się głębiej weń wejrzeć i wszystko, co spostrzeżemy, po imieniu nazywać, moglibyśmy dojść do uświadomienia sobie nowych a bardzo ważnych prawd społecznych.

Nie mam zamiaru dawać studyum o kwestyi ruskiej — ani charakter, ani rozmiary moich listów temu nie odpowiadają — chciałbym tylko wypowiedzieć parę luźnych myśli, które mi się nasunęły tu na gruncie, gdym przyglądał się zbliska temu, o czem dawniej zdaleka najsprzeczniejsze słyszałem historye.

Zawsze interesowała mię psychologia ruchu ruskiego, psychologia ludzi, którzy siebie uważają za przedstawicieli »narodu ruskiego«. Uważam zresztą, iż od poznania tej psychologii powinien zaczynać każdy, kto chce istotnego pojęcia o sprawie nabrać. Największym chyba błędem tych, co u nas o Rusinach rozprawiają, jest mierzenie ich swoją miarką i przypisywanie im stąd uczuć, myśli, ideałów, których oni nie mają i mieć nie mogą. My albo żądamy od Rusinów, żeby byli takimi patryotami polskimi, jakimi my jesteśmy, i gdy nie odpowiadają naszemu życzeniu, gotowiśmy uważać ich za zdrajców wspólnej ojczyzny; albo wmawiamy w siebie i w nich, że mają oni taki patryotyzm ruski, jak

my polski, i wtedy czyny ich, jako Rusinów, oceniamy tą samą miarką obywatelską, która się u nas wyrobiła, najniesłuszniej też gotowiśmy ich często za »zdrajców narodu ruskiego« uważać; albo wreszcie chcemy, żeby każdy z nich się rodził z jakimś federalistycznym patryotyzmem rusko-polskim, który nigdy nie istniał, wyrobić się nie mógł i na którego wyrobienie trzebaby całego okresu historycznego przy pewnym określonym ustroju politycznym. Każde z tych stanowisk jest z gruntu błędne; każde z nich, zajęte z góry, zamiast rozjaśniać, zaciemnia tylko kwestyę, i tak już niezmiernie zawiłą. Błąd leży w braniu rzeczy *a priori*, w rozstrzyganiu sprawy bez znajomości ludzi, o których w niej chodzi, bez znajomości pobudek, które nimi kierują, bez uświadomienia sobie treści ich dążeń.

Ruch narodowościowy ogólny, będący naturalnym skutkiem zdemokratyzowania życia politycznego w dziewiętnastem stuleciu i wydobywający z zapomnienia najdrobniejsze często resztki plemion, jak np. Serbów łużyckich, znalazł na Rusi grunt podatny. Pierwszym czynnikiem, rozwojowi tego ruchu sprzyjającym, była odrębna i na obce wpływy odporna indywidualność małoruskiego plemienia, mającego dosyć obfitą i niezmiernie charakterystyczną literaturę i sztukę ludową. Ta wszakże odrębność mogła się stać podstawą tylko dla ruchu z charakterem wyłącznie kulturalnym, który istotnie rozwinął się w swoim czasie dość silnie nad Dnieprem, mając główne swoje ognisko w Kijowie Do tego, żeby separatyzmowi kulturalnemu mógł towarzyszyć separatyzm polityczny, trzeba, ażeby dane plemię miało jakąś wyraźną i możliwie świeżą polityczną tradycyę. Tymczasem Rusini, jako całość kilkunastomilionowa, mówiąca jednym językiem, żadnej wspólnej a dla siebie odrębnej tradycyi nie mają, a nawet można powiedzieć, że żadna część Rusi wyraźniejszej tradycyi nie posiada, wyjąwszy może Sicz zaporoską, której trudno chyba dziś brać za podstawę dla ideałów politycznych przyszłości. To też ogólno-ruski ruch polityczny nie rozwinął się, a nawet się nie narodził, bo używany we frazesach dziennikarskich wszechukraiński patryotyzm jest właściwie fikcyą, w którą wierzy kilkunastu marzycieli. Natomiast w Galicyi powstał i przybrał szerokie rozmiary specyalnie miejscowy, wschodniogalicyjski ruch polityczny, wypowiadający zawziętą walkę Polakom, jako panującemu żywiołowi.

Ludzie, którzy tu nie chcą przyznawać ruchowi ruskiemu racyi, przywykli mawiać, że »hr. Stadion wynalazł Rusinów« — jest to zdanie, mające tylko wartość dowcipu; ale już nie miniemy się z prawdą, gdy powiemy, iż rząd austryacki Rusinów odkrył t. j. odkrył czynniki, dające się wyzyskać dla stworzenia ruskiego separatyzmu. Nie przeszkadza to wszakże żywić przekonania, że bez pomocy rządu austryackiego ruch ruski byłby również się rozwinął, tylko może nieco później i w nieco odmiennej postaci.

Przypomnę tu pewnego nauczyciela wiejskiego, którego znałem w Królestwie. Był to Polak, mazur, syn chłopa z nad Wisły. Wychowano go w jednem z istniejących w Królestwie rosyjskich seminaryów nauczycielskich, wkrótce po powstaniu. Człowiek ten nie czuł się Rosyaninem, miał świadomość swej polskości, a jednak był wrogiem Polaków. Miał on wyhodowaną przez rosyjskich »demokratycznych» przewodników nienawiść chłopa do panów, do inteligencyi, do wszystkich, co chodzą w surdutach. Nienawistni mu byli ludzie, ich uczucia, ich myśli, wszystko co oni kochają i do czego z czcią się odnoszą. Nie mając siły do bezpośredniej z nimi walki, buntował przeciw nim lud i służył rządowi, a niezmiernie się cieszył, gdy mógł na dziedzica lub księdza — bezinteresownie zresztą — napisać denuncyacyę. Nie był to człowiek głupi i nie powiedziałbym nawet, że był podły, była to tylko jednostka, pochodząca z warstwy, nie mającej tradycyi narodowej i narodowych ideałów, a poddana pewnej kulturze umysłowej przez wrogów tej tradycyi. Skromne, upośledzone stanowisko nauczyciela wiejskiego i rządowy charakter jego działalności trzymały go zdaleka od inteligentniejszego otoczenia polskiego, czuł się przez to otoczenie pogardzanym i skutkiem tego nienawiść jego do »Polaków«, jak nazywał ludzi inteligentnych, ciągle rosła.

Kto zna stosunki Królestwa, ten wie dobrze, iż człowiek ten nie był wyjątkiem, że podobni jemu dziś jeszcze istnieją i że na nich to rosyjscy działacze oparli swoje nadzieje, iż uda im się »nieprzejednanych Polaków« w krótkim czasie zrobić we własnym kraju obcymi. Nadzieje te zostały zawiedzione, podobne bowiem do wyżej opisanego typy mogą się rozwijać sztucznie tylko w pewnych warunkach specyalnych, w chwili przejściowej, kiedy lud już zaczyna być żywiołem politycznie czynnym, a jeszcze niedość został wciągnięty w moralne życie narodu, ażeby się wyrównała odpowiednio przepaść ideałów, dzieląca go od warstw oświeconych.

Czynniki, które wpłynęły na urobienie się pojęć wspomnianego nauczyciela, owa nienawiść napół oświeconego chłopa do ludzi inteligentnych, których wyższość czuje i którzy z góry nań patrzą, mają też podstawowe znaczenie przy wytwarzaniu się nienawiści do Polaków śród Rusinów. Takim, napół oświeconym chłopem jest w gruncie rzeczy i ksiądz ruski, i ruski student, i każdy niemal przedstawiciel tak zwanej inteligencyi ruskiej we wschodniej Galicyi. Tylko tu, skutkiem odmienności języka a w pewnej mierze i kultury, przy odrębnej organizacyi kościoła, antagonizm w istocie swej społeczny, stanowy, pozyskuje podstawę szerszą, kulturalno-narodową. Dowodem, że właściwe źródło tego antagonizmu leży nie w różnicach narodowościowych, ale w społecznych, jest fakt, że najgorętsi przedstawiciele separatyzmu ruskiego mówią u siebie w domu po polsku, a języka ruskiego używają przeważnie tylko w życiu publicznem, lub gdy rozmawiają między sobą w obecności Polaków. Ci sami atoli ludzie powiadają, że nic wspólnego z Polakami nie mają i mieć nie chcą, a do tradycyi państwowych polskich odnoszą się z nienawiścią, która ich popycha czasami do wystąpień wprost dziecinnych, że przypomnę niedawną manifestacyę w Sejmie ze strony posła ruskiego, który, protestując przeciw ofiarowaniu cesarzowi na rezydencyę zamku królów polskich na Wawelu, próbował wziąć poważnie dowcip dyplomacyi austryackiej z czasów pierwszego rozbioru i oświadczył, że Ruś halicka zosiała przyłączona do Austryi nie jako polska, ale jako węgierska prowincya. Niewątpliwie Węgrzy nie są milsi tym panom od Polaków, i wątpić należy, czy bracia Rusini byliby zadowoleni, gdyby im zaproponowano przejście na zasadzie »praw historycznych« pod madjarską opiekę — chodziło tu tylko o to, żeby Polakom powiedzieć coś takiego, co im żółci trochę upuści. Wogóle nienawiść tutejszych Rusinów do tradycyi polskiej nie w tem ma źródło, że to jest tradycya obca, ale w tem, że jest ona polską, że to tradycya »panów«, w najszerszem, chłopskiem tego wyrazu rozumieniu.

My Polacy lubimy żyć umówionemi kłamstwami, to też mówimy często o patryotach ruskich, nie naja-

cych uczucia nienawiści dla Polaków; tymczasem tego, co właściwie nazywa się patryotyzmem u Rusinów prawie nie spotykamy, natomiast zaś nienawiść do Polaków jest najwyraźniejszem ze wszystkich ruchu ruskiego znamieniem. Jest wielu takich Rusinów, którymby nic ruskiego nie zostało, gdyby im odebrać ruską do Polaków nienawiść.

Znamienną stroną ruchu ruskiego w Galicyi w porównaniu np. z czeskim jest to, że gdy Czesi wzięli się przedewszystkiem do pracy nad odrodzeniem narodu, nad odgrzebaniem z popiołów umysłowości czeskiej, u Rusinów cała niemal praca sprowadza się do politycznej agitacyi. Jest to jeden więcej dowód, że ruch to raczej społeczny, niż narodowy. Z pewnego stanowiska biorąc, jest to właściwie ruch jednej warstwy, ruch upośledzonego pod względem ekonomicznym i w stosunkach towarzyskich stanu duchownego, ruch księży i synów księżowskich.

Kwestya księży ruskich w Galicyi — to istotnie paląca kwestya społeczna. Jest ich zadużo, parafie mają zamałe, ludność w parafiach ubogą, a dzieci, jak na nieszczęście wiele. W miarę postępu cywilizacyi wymagania ich życiowe rosną, stąd powstają niezaspokojone pragnienia, szukające sposobu wypowiedzenia się nazewnątrz. Jako urzędowy przedstawiciel obrządku ruskiego w kościele, ksiądz z urzędu jest Rusinem, rozpoczyna też ruską akcyę polityczną, a posiadając dzięki swemu stanowisku, znakomite środki agitacyi, z łatwością w tę akcyę wciąga lud, który, przy swej nędzy i wynikającem stąd niezadowoleniu, jest bardzo podatnym do wciągnięcia w ruch materyałem. Lud ruski przy swej ciemnocie i słabym stopniu uspołeczniania, nie jest jest jeszcze zdolny — jak to okazuje rzeczywistość — do organizowania się w stronnictwo polityczne, i dzisiejszy ruch we wschodniej Galicyi ma w znacznej mierze znamiona ruchów żywiołowych w rodzaju dawnych wojen chłopskich, buntów hajdamackich lub niedawnych rozruchów w Sycylii. To ogromnie wikła sprawę i utrudnia wejście na drogę, prowadzącą do jej rozwiązania.

Ruch ruski w Galicyi nie ma źródła w jednej kwestyi, ale w kilku kwestyach, które się z sobą splotły w taką całość, że sami kierownicy ruchu, ludzie zresztą przeważnie ze słabemi głowami, nie umieją jednej od drugiej oddzielić.

Ten sam błąd popełnia się po stronie polskiej; tu ludzie także bądź nie znają drogi ruchu i nie umieją rozróżniać jego składników, bądź umyślnie nie chcą rzeczy po imieniu nazywać. Stąd rezultat ten, że Rusini właściwie nie wiedzą, czego chcą. Polacy zaś nie usiłują nawet sobie przedstawić, jaka będzie przyszłość tej niezmiernie ważnej dla całego społeczeństwa sprawy.

R. Skrzycki.

Z CAŁEJ POLSKI.

Wiec „manifestacyjny“ w Poznaniu. Stosunek duchowieństwa do ogółu polskiego. Polityka biskupów w Galicyi i widoczne jej następstwa. Tryumfy Stojałowskiego. Księża odstępcy. Nowe „prawo majowe“ w Królestwie. Taktyka rządu rosyjskiego w stosunkach z Rzymem.

Przed dwoma tygodniami odbył się w Poznaniu wiec walny stronnictwa »ruchu ludowego«. Wobec bankructwa polityki ugodowej i rozbicia się żywiołów opozycyjnych na drobne odłamy, stronnictwo ruchu ludowego mogłoby odegrać przy najbliższych wyborach rolę niepoślednią, gdyby zorganizowała się i połączyła się z nim ta inteligencya demokratyczna, która idzie luzem, chociaż w głównych zasadach program jego podziela. Naczelnym kierownikiem, duszą stronnictwa ludowego jest redaktor *Orędownika,* dr. Roman Szymański, świetny dziennikarz popularny, człowiek energiczny i samodzielny. Ale właśnie ta samodzielność i oryginalność, która polityce *Orędownika* zjednała u przeciwników epitet »rogatej«, w społeczeństwie naszem, nie lubiącem i nawet lękającem się wszelkiej indywidualności, utrudnia niewątpliwie p. Szymańskiemu zorganizowanie stronnictwa na większą skalę za pomocą przyciągnięcia do niego żywiołów politycznie pokrewnych. W każdym razie, jeżeli szukać zechcemy w Poznańskiem objawów świadomości i samodzielnej myśli politycznej, to znajdziemy ich najwięcej w t. zw. stronnictwie ruchu ludowego.

Z przemówienia p. Szymańskiego na wiecu przytoczymy tu kilka ustępów znamiennych, które określają znaczenie zebrania i główne zasady polityki stronnictwa.

»Wobec tych dwóch wypadków w Berlinie (Reskrypt p. v. d. Recke i deklaracya dr. Komierowskiego«), niepodobieństwem było — nie zwoływać panów na wiec, toć to są sprawy, które, że się tak wyrażę — osobiście dotyczą ruchu ludowego tak w Poznaniu, jak na prowincyi. Toż to właśnie ruch ludowy był tym jedynym, publicznym głosem w narodzie, który kierunek polityki partyi dworskiej uważał za zupełnie fałszywy i niebezpieczny i dosadnie przed nim cały naród ostrzegał. Toż to ruch ludowy głosił i przekładał narodowi, że w polityce łask nie znają, że w naszem położeniu nasze sprawy narodowe możemy tylko na własnych siłach opierać, że dla naszej narodowości tylko tyle podstawy zdobędziemy, ile jej własnym trudem wypracujemy«.

»Tu w tej samej sali już przed 10 laty, bo w r. 1887, głosiliśmy: że obowiązki nasze względem tronu, rządu i państwa w zupełności uznajemy, ale też równocześnie ani odrobiny nie uronimy z prawa do bytu naszej narodowości«.

»Szanowni panowie! Pod tym sztandarem staliśmy, pracowaliśmy i walczyliśmy przez 4 lata. Dziś spotyka was nagroda za to w formie wprost demonstracyjnej, w formie tak zupełnej, jak lepszej pragnąć sami nie mogliście.«

»Wobec tego obowiązkiem było komitetu zawezwać panów na wiec, żeby zamanifestować publicznie — tryumf ruchu ludowego!«...

»Gdyśmy jeszcze zażywali w pewnej części dawnych praw narodowych, mówiono, że to nie dobrze, że w tem się kryje niebezpieczeństwo dla państwa, bo wyzyskuje to szlachta i duchowieństwo; teraz gdy oddajemy państwu w zupełności, co mu się należy, gdy szlachta jest skromna, a duchowieństwo skrępowane i troskę o utrzymanie naszej odrębności narodowej bierzemy wyłącznie na siebie, wołają także, że w tem też się kryje niebezpieczeństwo dla państwa!«

»Tym większa jest potrzeba, żeby cały lud polski wiedział, że przyszłość narodowości polskiej pod berłem pruskim złożył dziś Bóg w ręce ludu!«

Ze spraw poruszonych na wiecu, bodaj najważniejszą, a w każdym razie najpilniejszą była sprawa stosunku ludu i ogółu polskiego do duchowieństwa.

Sprawę tę, o której pisaliśmy nieraz, wprowadził na porządek dzienny rozwój ruchu ludowego i posta-

wił odrazu w formie bardzo ostrej, ponieważ nietylko wyższa władza duchowna, ale i znaczna część duchowieństwa popierała gorliwie politykę ugodową i wdała się w walkę z jej przeciwnikami. Ale dziś ta sprawa sięga po za ruch ludowy, ogarnia całe społeczeństwo i jest równie ważną dla duchowieństwa, jak dla narodu. Po bankructwie polityki ugodowej łatwo było zlikwidować stosunek stronnictwa dworskiego do rządu, ale zgubne jej skutki w zakresie stosunku duchowieństwa do władzy państwowej nie mogą być usunięte doraźnie.

Milczenie, jakie zachowuje prasa w sprawie stosunku duchowieństwa do dążeń narodowych ogółu polskiego istotnie okazać się może w przyszłości dla obu stron zgubnem. W takiej ważnej sprawie, która, jak słusznie mówi *Orędownik* »pali się w naszych oczach, w oczach ludu i księży« powinna była już oddawna nastąpić swobodna wymiana zdań. Tymczasem pisma, które bronią stanowiska i postępowania wyższej władzy duchownej, umieją zalecać tylko milczenie i nie oświetlają sprawy ze swego stanowiska. Nawet pisma niezależne, jak np. *Goniec*, któremu nie brak przecie cywilnej odwagi, tej drażliwej sprawy nie dotyka, albo ją delikatnie omawia.

Zaznaczając np. że Kraków i Lwów, które w V kuryi wybrały socyalistów »postanowiły użyć gorzkiego ale skutecznego lekarstwa« na dotychczasową gospodarkę polityczną stańczyków, *Goniec* tak dalej pisze:

»Niech to będzie nauką dla naszych eksugodowców przy wyborach przyszłych.

»Niech tylko hakatyści tak dalej gospodarują, jak dotychczas, niech rugują coraz bardziej nabożeństwa polskie, a zaprowadzają na ich miejsce *„niemieckie nabożeństwa“*, to wnet doczekamy się rzeczy, o których się filozofom nie śniło.

»Lud nasz już teraz nie taki głupi i poznaje się coraz bardziej na farbowanych lisach! Umie on dokładnie rozróżnić, to, co się czynić powinno na chwałę boską, od tego, co jest obrazą boską«.

Niewątpliwie hakatyści są tu tylko wsadzeni »dla delikatności«, bo przecie nie oni zaprowadzają »nabożeństwa niemieckie«, nie oni mówią że »czynią na chwałę boską to, co jest obrazą Boga«.

Zmieniając nieco słowa *Gońca* można śmiało powiedzieć, że jeżeli opinia publiczna w zaborze pruskim będzie zachowywać uporczywe milczenie w sprawie stosunku wyższej władzy kościelnej i duchowieństwa do dążeń narodowych ludu polskiego, to istotnie doczeka się rzeczy, o których nie śniło się filozofom, o ile tem mianem nazwać można »mężów stanu«, poznańskich, którzy, zdaje się, nietylko nie są przyjaciołmi mądrości, ale nawet nie są dobrymi jej znajomymi.

Nie śniło się również biskupom galicyjskim, kiedy zaczynali walkę z ruchem ludowym, że doczekają się takich owoców swej nieopatrznej polityki, jakie dziś spożywać muszą. W tej walce, lekkomyślnie wypowiedzianej, zostali podczas ostatnich wyborów sromotnie pobici. Bo czyliż nie jest dowodem upadku powagi biskupów i wpływu duchowieństwa na lud ten fakt, że ksiądz wyklęty i prześladowany tryumfuje w 6 okręgach i przeprowadza swoich posłów? Wyborcy, sądząc ze sprawozdań, zamieszczonych w pisemkach ks. Stojałowskiego, po prostu sponiewierali tych księży, którzy przeciw niemu ośmielali się wystąpić. Czterej księża zgodzili się być kandydatami, polecanymi przez wyklętego. Wprawdzie tylko jeden z nich nie cofnął się i został za to pozbawiony posady i zawieszony w wykonywaniu obowiązków kapłańskich, ale lud, dowiedziawszy się o tem, wyprawił mu owacyę, a następnie dał mu mandat poselski. Ten ks. Szponder, którego Stojałowski mianował swoim następcą czy zastępcą, cieszy się już dziś niezwykłą popularnością wśród ludu i z pewnością wstąpi w ślady mistrza.

Ci zaś księża, którzy wystąpili jako obrońcy powagi biskupów, nie mogą pochlubić się zwycięztwem. Dwaj z nich — ks. Fiszer i ks. Pastor zdobyli wprawdzie mandaty, ale tylko dzięki nadużyciom wyborczym i błędom przeciwników, trzeciego, ks. Kopycińskiego pobił ludowiec Winkowski. Ks. Pastora podobno nawet poturbowali wyborcy, kiedy się wśród nich zjawił i za uciekającym gonił tłum chłopski, krzycząc: Judasz, zdrajca!

Podczas ostatniej kampanii biskupów przeciw ks. Stojałowskiemu, która się zakończyła wyklęciem »buntownika« nawet najskrajniejsi zachowawcy, o ile nie byli zaślepieni nienawiścią, półgębkiem wyrażali zdanie, że nie należy doprowadzać sprawy do ostateczności. Widzieli, że biskupi popełniają błąd, który nietylko ich powadze zaszkodzi, ale i dla społeczeństwa, w przekonaniu żywiołów zachowawczych, może być w skutkach niebezpiecznym; nie odważyli się jednak przeciw nim wystąpić, ani nawet jawnie wygłosić swego zdania. I dziś chociaż rozumieją wybornie, że biskupi, a zwłaszcza biskup krakowski w znacznej mierze przyczynili się do tryumfu Stojałowskiego, żaden z nich nie zaprotestował głośno przeciw powtórzeniu fatalnego błędu w sprawie ks. Szpondra.

Z pewnością nikomu z »filozofów« galicyjskich nie śniło się przed rokiem, że wyklęty i ścigany jak zwierz w kniei ks. Stojałowski i jego zwolennicy, »wezmą pod nogi«, jak jeden z nich się przechwala, powagę biskupów i duchowieństwa. Bo istotnie »wzięli ją pod nogi«, zdeptali niemiłosiernie. I, kto wie, może ci filozofowie doczekają się wkrótce tego, że władza duchowna zapragnie pogodzić się z wyklętym »buntownikiem«, a on nie zgodzi się na pojednanie z nią. Właściwie byłoby to dzisiaj bodaj najlepsze dla zachowawców załatwienie sprawy, bo wycofali by się z przykrego i niebezpiecznego położenia, jeżeli nie z honorem, to przynajmniej z niezbyt dotkliwą stratą i obezwładnili by przeciwnika. Ale ks. Stojałowski wie, że obecnie stanowisko jego jest mocniejszem i nie tak łatwo da się z niego wywabić.

Jest to szczęściem i dla niego i dla naszego społeczeństwa, że podczas największego prześladowania, kiedy go ze wszystkich stron osaczono, nie uciekł, jak zamierzał, do Królestwa. Tam działalność jego byłaby bezwzględnie szkodliwą, a on sam ostatecznie zmarniał by gdzieś na zesłaniu, bo buntownicze jego usposobienie poróżniłoby go niewątpliwie z władzą rosyjską, tymbardziej, że przyjrzawszy się osobiście warunkom miejscowym, o których nie ma dziś pojęcia, zmieniłby rychło swoje zdanie o niej.

W Galicyi zbuntowany przeciw swej władzy duchownej ksiądz może być prześladowanym i potępionym, ale wpływowym działaczem społecznym: w zaborze rosyjskim taki buntownik staje się odstępcą, lub wyrzutkiem moralnym i zarazem agentem rządowym.

Buntownikami względem swej władzy duchownej byli ci księża na Litwie, którzy po powstaniu zgodzili się na wprowadzenie do nabożeństwa języka rosyjskiego. Prawie wszyscy oni marnie skończyli, chociaż mieli łaski rządu i znakomite uposażenie. Przed paru miesiącami gazety pisały o skazaniu ks. Jurgielewicza, proboszcza słuckiego, za sfałszowanie metryki chłopca dla ułatwienia mu przyjęcia do szkoły i zapisanie dziew-

czyny prawosławnej jako katoliczki. Może niejeden, przeczytawszy tę wiadomość, użalił się nad losem biednego księdza, który dopuścił się wprawdzie formalnego występku, ale dla dobrej sprawy. Tymczasem ten Jurgielewicz był skończonym łotrem, który nie poprzestał na wprowadzeniu języka rosyjskiego do kościoła, ale bratał się z policyą i popami, nakazywał dzwonić podczas procesyi prawosławnych i nawet sam brał w nich udział. Parafian swoich obdzierał bez litości i w dodatku był bezwstydnym rozpustnikiem. Co parę lat sprowadzał sobie nową kuzynkę i przez czas jakiś trzymał na plebanii cały harem Chłopiec, którego metrykę sfałszował, był właśnie synem jednej z takich kuzynek. Od dziewczyny prawosławnej, której wydał świadectwo, że jest katoliczką, wziął grube pieniądze. Kiedy te dwie sprawki wydały się, musiano oddać go pod sąd.

Sądzili ks. Jurgielewicza przysięgli, przeważnie miejscowi włościanie prawosławni i uznali go winnym. Na podstawie ich werdyktu i zgodnie z prawem sędziowie koronni, wyłącznie Rosyanie, bo innych na Litwie nie ma, skazali Jurgielewicza na pozbawienie praw i zesłanie na Sybir. Ma się rozumieć, skazany odwołał się do senatu, prosząc o skasowanie wyroku i znalazł gorliwych obrońców w prasie rosyjskiej, którzy dowodzą, że cała sprawa jest intrygą polską, mającą na celu zhańbienie i zgubienie zasłużonego patryoty rosyjskiego. Ci obrońcy tak są bezczelni, że domagają się skasowania wyroku i ponownego śledztwa w tej sprawie dla wykazania niewinności Jurgielewicza. To im się zapewne nie uda, ale złagodzenie wymiaru kary prawdopodobnie nastąpi.

Istotnie Jurgielewicz i jego przyjaciele mogą się skarżyć na surowy wymiar kary i niesprawiedliwość rządu, jeżeli ks. Sikorski w Dąbrowie za ohydną zbrodnię, której się dopuścił, (patrz Nr. 4 *Przeglądu wszechpolskiego)* skazany został tylko na kilkoletnią pokutę w klasztorze. Okazuje się teraz, że dawno już znany był władzy duchownej, jako szpieg, który wydawał policyi spowiadających się u niego unitów i jako cyniczny rozpustnik. Jednakże biskup nie śmiał się oprzeć żądaniu władzy i mianował go proboszczem, a obecnie obawia się również i choćby nawet chciał, nie może zbrodniarza należycie ukarać.

O zależności biskupów i duchowieństwa od rządu rosyjskiego świadczy fakt, ponownie poruszony w korespondencyi warszawskiej do *Czasu*. Mówiąc o działalności Szuwałowa, korespondent zaznacza, że zostawił on po sobie fatalną spuściznę, »zarodek walki kulturnej.« Szuwałow, zdaniem *Czasu*, chciał naśladować Bismarka, którego był wielbicielem, i w maju roku 1896 wydał rozporządzenie, stanowiące, że wyświęcenie kleryka na kapłana zależy nietylko od władzy duchownej, ale i od egzaminatorów języka rosyjskiego. Biskupi nie zgodzili się na to, żeby klerycy składali oprócz zwyczajnych specyalne egzamina i wyświęcili młodych księży, którym rząd nie pozwala sprawować teraz żadnej czynności kapłańskiej. Korespondent przytacza rozmowę z Szuwałowem, jaką miał w tej sprawie zmarły biskup Nowodworski, który, chociaż grzeszył nieraz uległością wobec rządu, w tym wypadku okazał wielką stanowczość.

— Cóż X. biskup będzie robił z klerykami swoimi? — zapytał hr. Szuwałow.

— Będą ich wyświęcał — odpowiedział biskup.

— A ja ich nie zatwierdzę.

I tak się obecnie dzieje. Gorliwiej od innych przestrzega rosyjskiego »prawa majowego« gubernator płocki, któremu jakiś korespendent z Warszawy wypalił sążnisty panegiryk. Rozporządził on osobnym okólnikiem do naczelników powiatu, aby wszystkich »majowych« księży odsyłano do miejsca stałego zamieszkania i nie pozwalano im odprawiać mszy. Nie poprzestał jednak na tem gorliwy gubernator i nakazał zastosować to rozporządzenie do wszystkich kapelanów, którzy nie mają miejsc etatowych, ale zastępują starych, chorych, lub obarczonych nadmierną pracą proboszczów. Takich kapelanów jest w dyecezyi płockiej co najmniej kilkunastu, którzy posad etatowych nie mają.

W sprawie dopuszczenia świeżo wyświęconych księży do czynności kapłańskich toczą się już od pół roku układy z Rzymem i sprawa nie postępuje naprzód. Wydaje się dziwnem toczenie układów, kiedy rząd rosyjski wydał rozporządzenie bezprawne i po prostu powinien je cofnąć. Ale jest to właśnie stały system postępowania rządu rosyjskiego względem kościoła katolickiego. Władza centralna lub miejscowa wydaje rozporządzenie, ograniczające prawa kościoła lub duchowieństwa. Zawiadomiona o tem kurya protestuje. Wówczas w Petersburgu bardzo chętnie zgadzają się na układy w drażliwej sprawie. Właściwością układów jest fakt, że zawsze obie strony coś z pretensyi swoich ustępują, wypada więc w rezultacie, że zawsze Kościół coś traci, a rząd rosyjski w porównaniu z poprzednim, przed wydaniem bezprawnego rozporządzenia istniejącym stanem rzeczy — coś zyskuje W tem sposób od czasu pogodzenia się z Rzymem przed kilkunastu laty prawa kościoła katolickiego w państwie rosyjskiem systematycznie są uszczuplane. Trudno przypuszczać, żeby w Rzymie nie zrozumiano dotychczas tej taktyki przeciwnika, łudzą się więc zapewne tylko za każdym razem, że Rosya dalej już nie pójdzie i dla miłego spokoju robią możliwie najmniejsze ustępstwo. Ale Rosya korzystnej dla niej polityki nie zaniecha, dopóki nie usłyszy stanowczego: *non possumus*, dopóki nie nabierze przekonania, że Rzym zdecydowany jest raczej nawet na zerwanie stosunków i walkę, niż na jakąkolwiek zmianę, zmniejszającą prawa kościoła katolickiego.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 25 marca.

Ostatnie słowo Apuchtina. Rosyjski Bismark. Obawy urzędników. „Rządy legalne“ i kwalifikacye wykonawców.

Przyjacielowi naszemu, Aleksandrowi synowi Lwa Apuchtinowi, nie można odmówić tego, że jest człowiekiem stylowym. Od chwili ukazania się na naszym widnokręgu aż do zniknięcia zawsze jednakową miał fizyognomię, trzeba przyznać całkiem wyraźną. Nie był to urzędnik, starający się tak tańczyć, jak mu grają, ale działacz, mający swą ideę, swój cel i dążący do tego celu konsekwentnie. Idea ta — to wytępienie żywiołu polskiego, proste, bezpośrednio, bez bawienia się w dyplomacyę, we flirt polityczny, jednem słowem *a la prussienne*. Obejmując stanowisko kierownika oświaty w naszym kraju, zapowiedział z dobrą miną, że wkrótce nianki do dzieci będą nad Wisłą mówiły po moskiewsku i wziął się odrazu do rzeczy w taki sposób, że nikt nie mógł mieć wątpliwości co do jego zamiarów. Pomimo że miał wiele powodów do rozczarowania się, pomimo iż napewno przekonał się, że nie tak to łatwo do tych nianiek się dobrać, nie zszedł z obranej drogi, bez

względu na widoczne w rewulucyjnym nastroju młodzieży rezultaty jego działalności, bez względu, czy na stanowisku generał gubernatora była osobistość, z którą mógł iść „w *odnu nogu*“ — jak sam się o swym stosunku do Hurki wyraził — czy też był kto inny, czyje kroki z krokami kuratora niezupełnie się zgadzały. Szedł jednakowo aż do chwili ustąpienia ze stanowiska, a nawet już po otrzymaniu dymisyi znalazł sposobność publicznego oświadczenia, że przekonań swych nie zmienił. Sposobnością tą, jak się łatwo domyśleć, była uczta pożegnalna wydana dla niego przez bandę pedagogów okręgu warszawskiego.

Z uroczystością tą długo się jakoś nie kleiło. Miano ją urządzić w klubie rosyjskim, to się wszakże nie udało, ponieważ zarząd klubu nie chciał podobno wpuścić w swe podwoje wszystkiej pedagogicznej hałastry.

Chwilowo nawet zaniechano myśli uroczystego żegnania działacza, ostatecznie wszakże rzecz doszła do skutku i ucztę urządzono w sali aktowej gimnazyum szóstego, którego dyrektorem jest Istomin, jeden z ludzi, co pod Apuchtinem w najkrótszym czasie zrobili karyerę i co się najwięcej dali we znaki naszej młodzieży.

Na tej uczcie Apuchtin wystąpił z mową, w której przypomniał chwilę otrzymania orderu Aleksandra Newskiego — widocznie chciał przez to przypomnieć, że dostał swego czasu policzek, za który order ten był zapłatą — i przytoczył słowa, napisane własnoręcznie przez Aleksandra III na przedstawieniu do orderu, podanem carowi przez ministra Deljanowa. Słów tych nie znaliśmy dotychczas, a zasługują one na to, by je przekazać potomności. »Z wielką przyjemnością — brzmi dopisek carski — jest on rzeczywiście jednym z nielicznych Rosyan w Polsce, który idzie pewnie i stanowczo według nakreślonego programu i podtrzymuje interesy rosyjskie, a nie polskie«. Słowa te brzmią, jak widzimy, wcale nie dwuznacznie. Powoławszy się następnie na wyraz myśli obecnego cara w znanym nam ostatnim reskrypcie, gdzie polecono następcom Apuchtina iść po tej samej, co on drodze, ustępujący kurator wypowiedział swą ostatnią na naszym gruncie wolę w słowach następujących:

»Dlatego my bez żadnej wątpliwości możemy powiedzieć, że zawsze spełnialiśmy i spełniamy wolę cąrską, a ponieważ słowo carskie jest prawem, to i w przyszłości tak samo pewnie i niezachwianie idźcie po tej drodze, po której szliście dotychczas, a którą wam wskazała wola carska. Kłaniam się wam do ziemi za waszą służbę i za waszą dla mnie życzliwość, a oto prośba moja do was: stójcie mocno na swych stanowiskach i po staremu, uczciwie spełniajcie służbę carską«... Po tych słowach radca tajny Apuchtin wypił za zdrowie otaczających go opryszków.

Jest w tem pożegnaniu coś, co pachnie naśladowaniem dogorywającego dziś pustelnika we Friedrichsruhe. Czując się trochę głupszym od Bismarka, Apuchtin stara mu się dorównać przynajmniej w nienawiści do Polaków, konsekwentnie utrzymywanej na jednej wysokości, w przywiązaniu do systemu eksterminacyjnego i chęci utrzymania go jakimkolwiek kosztem. Widać z jego słów, że obawia się on o losy ukochanego dzieła i że z drugiej strony czuje potrzebę uspokojenia w swych dotychczasowych podwładnych obaw o ich własne losy. Ostatnie jest rzeczą dla dzisiejszej chwili znamienną.

Faktem jest, iż wśród żywiołu urzędniczego w Królestwie daje się czuć silna obawa zbyt daleko idących zmian w sposobie rządzenia krajem Można powiedzieć, iż obawa ta jest do pewnego stopnia uzasadniona. Nie przeto, żeby miały nastąpić, jakieś wielkie dla nas ulgi — tego spodziewać się nie można i nawet można być pewnym, że ich nie będzie, ale przeto, że u rządu obecnego widoczne jest usiłowanie do zaprowadzenia jednej zmiany, w istocie rzeczy drobnej, bezpośredniego znaczenia narodowego dla nas nie mającej, ale brzemiennej w skutki właśnie dla sfery urzędniczej. Chodzi o rzecz, o której już oddawna się mówi, o której w ostatnich czasach wiele pisano nietylko w prasie polskiej, ale i w rosyjskiej, którą wreszcie już zaczęto potrosze wprowadzać w życie, mianowicie o zaprowadzenie »rządów legalnych«. Dotychczasowe rządy były właściwie i są jeszcze rządami tymczasowymi, niby w kraju pozostającym na stopie wojennej. Rezultat tu zależy głównie od inicyatywy i gorliwości urzędników, pozwala im się rozwijać swą inicyatywę, jak żołdactwu pozwala się *„poguliat'“* po zajęciu nieprzyjacielskiego miasta. Byle nauczyciel, byle komisarz policyjny w sferze swego wpływu wprowadza innowacye, dopełnia lub przekracza istniejące ustawy, a spokojnemu obywatelowi kraju, co się zechce na te te ustawy powoływać i opierać woli »władz«, daje się administracyjnym sposobem taką nauczkę, żeby mu się na przyszłość odechciało protestować. W podobnych warunkach zdolność urzędnika mierzy się stopniem »poczucia rosyjskiego«, jakie ten urzędnik posiada i »poczucie« to właśnie jest wyłączną niemal kwalifikacyą u większości przedstawicieli władzy w Królestwie.

Obecnie, jak się zdaje, rząd doszedł do przekonania, że nielegalnemu systemowi rządzenia odpowiada nielegalny opór ze strony społeczeństwa, że »poczuciu rosyjskiemu« przeciwstawia ono »poczucie polskie«, że ogół nasz zbyt już wysoko stoi w rozwoju społecznym i politycznym, ażeby za pomocą nahajki można go było zamienić w bezwzględnie posłuszne i bezmyślne stado. Stąd dążenie do ujęcia całego systemu rządzenia, a wiec i działalności rusyfikacyjnej w karby ustaw, obowiązujących zarówno urzędników, jak społeczeństwo, z tem, ażeby nietylko mieszkańców kraju sorowo karać za działanie nielegalne, ale i nie dopuszczać, by ustawy były przekraczane lub samowolnie dopełniane przez urzędników. Tym sposobem rząd spodziewa się osiągnąć uspokojenie umysłów ludności, wpłynąć na wytworzenie atmosfery, utrudniającej działalność nielegalną, zmiejszyć przedział, jaki istnieje dziś między stronami wojującemi t. j. między społeczeństwem i administracyą, jednem słowem zmienić stosunki tak, żeby panowanie rosyjskie mogło czuć się w kraju pewniejszem.

Jeżeli to wszystko jest prawdą, jeżeli prawdą jest, iż w krótkim czasie ulegalizowanie rządów w Królestwie ma być konsekwentnie przeprowadzone, to położenie urzędników rosyjskich w kraju naszym znacznie się zmienia. »Poczucie rosyjskie«, jedyna prawie dotychczas wymagana kwalifikacya, już nie wystarczy — trzeba będzie prócz tego mieć mniej lub więcej gruntowną znajomość ustaw, umiejętność ich stosowania i takt, pozwalający utrzymać się zawsze we właściwych swemu stanowisku granicach. Fakt, że śród dzisiejszych przedstawicieli władzy w naszym kraju na palcach niemal można zliczyć ludzi, tym warunkom odpowiadających, jest niawątpliwy, i tem się tłómaczy pewna panika, która w kołach urzędniczych zaczyna panować. Ludzie, którzy dotychczas najmilej byli przez władzę widziani i uważani za najlepiej pełniących »służbę carską«, jutro mogą się okazać niezdolnymi, a stąd zmuszonymi opuścić rublodajne stanowiska. Nie wszyscy oni uświadamiają sobie należycie położenie i niebezpieczeństwo, które im grozi, większość instyktownie raczej sprawę bierze i nieumiejąc jej sobie należycie sformułować, mówi o jakichś lepszych dla Polaków czasach, o ustępstwach dla nas, można nawet usłyszeć od nich zdanie, iż rząd zaczyna nas protegować... W każdym razie obawy ich są, w wyłożonem powyżej znaczeniu, usprawiedliwione, i nie można się dziwić, że ustępujący kurator starał się uspokoić swych do-

tychczasowych podwładnych, którzy mu wiernie w pracy dla szerokiej ojczyzny pomagali. Nie użył wszakże Aleksander Lwowicz właściwego argumentu, który najlepiej mógł obawy pedagogicznej hałastry uspokoić. Trzeba było powiedzieć, iż rząd, choćby chciał, nie znajdzie odpowiedniej liczby ludzi inteligentnych, którzyby prowadzili dzieło rządzenia i asymilowania umiejętnie, sposobami »legalnymi«, używanymi dotychczas nad Odrą, Wartą i dolną Wisłą, że stara, prawosławna metoda długo jeszcze zostanie przy życiu, że nieprędko więc przepędzą wszystkich używających jej „*dicjatieli*".

* * *

SPRAWA POMNIKA MICKIEWICZA W WARSZAWIE.

Jak donosiliśmy, projekt postawienia Mickiewiczowi pomnika w Warszawie, nie pozostał na papierze, ale zabrano się żywo do urzeczywistnienia go. Zorganizował się tymczasowy komitet i składki bardzo prędko zaczęły płynąć. Zwrócono się też do ks. Imeryteńskiego, któremu wręczono podanie o pozwolenie na pomnik. W ostatniej chwili dowiadujemy się, iż nowy generał-gubernator wypowiedział swe zdanie w tej sprawie. Mianowicie oświadczył on, że najlepiej odpowiada jego myślom projekt postawienia pomnika w kościele św. Jana. Tłómacząc te słowa na zwykły język, mamy oświadczenie, iż wielkorządca przeciwny jest budowie pomnika, stawianie bowiem pomników wewnątrz kościołów zależy od decyzyi władz duchownych, nie cywilnych, do ostatnich zaś należy tylko pewna w tym względzie cenzura.

Oświadczenie to ks. Imeretyńskiego ostudziło trochę Warszawę, która tak uwierzyła w zmianę stanowiska rządu, że aż zdobyła się na śmiałą myśl postawienia pomnika jednemu z największych geniuszów ludzkości, który miał nieszczęście urodzić się synem Polski.

RUSZCZENIE KRÓLESTWA.

W r. z. podczas organizowania wystawy hygienicznej powstało w Warszawie z inicyatywy prywatnej i prywatnym czysto kosztem »Pogotowie ratunkowe«, pierwsza, zdaje się, tego rodzaju instytucya w państwie rosyjskiem, zorganizowana na wzór istniejących podobnych zakładów w wielkich miastach europejskich. Obecnie rząd zatwierdził »Pogotowie«, w ogłoszonem wszakże o tem zawiadomieniu powiedziano, iż cała korespondencya nowej instytucyi ma się odbywać w języku rosyjskim. Fakt ten świadczy, iż rząd postanowił nie pozwolić na powstanie w Królestwie żadnej instytucyi, posługującej się językiem polskim, że zatem rusyfikacya kraju będzie się odbywała środkami wzmocnionymi. Ponieważ powyższy akt rusyfikacyjny jest »legalny«, opiera się bowiem na specyalnej ustawie, ogłoszonej w *Prawitielstwiennym Wiestniku*, przeto powinien on zyskać całkowite uznanie i poparcie u warszawskiego »stronnictwa lojalnego«, którego programem jest »szanowanie ustaw«.

Niemniej znamiennym faktem jest ogłoszenie warszawskiego kantoru Banku Państwa (były Bank Polski), że od chwili obecnej będą przezeń przyjmowane tylko takie weksle, na których prócz imienia i nazwiska będzie się znajdowało w podpisie także „*otczestwo*", czyli imię ojca, według zwyczaju rosyjskiego i niektórych innych ludów wschodnich. Podobno świat handlowy warszawski przeciw temu zaprotestował, odniósłszy się do władzy wyższej.

Jak słychać, przygotowywane są nowe kroki ustawodawcze, skierowane przeciw duchowieństwu katolickiemu w Królestwie.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

ROZPRAWY Z POWODU KOMISYI KOLONIZACYJNEJ.

Posłowie polscy w sejmie pruskim dla zaznaczenia jedynie swego stanowiska opozycyjnego, bo liczyć nie mogli na pomyślny wynik rozpraw, postawili wniosek zniesienia ustawy kolonizacyjnej.

P. Mizerski wykazał, że ta ustawa jest jawnem pogwałceniem konstytucyi pruskiej i niemieckiej i sprzeciwia się zasadom sprawiedliwości. Zresztą działalność kolonizacyjna nie daje odpowiednich do wydanych sum rezultatów. Poparł mówcę poseł Imwalle, który w imieniu centrum zaznaczył, że jest również za zniesieniem ustawy, która rozjątrza namiętności narodowe.

Zasługuje na uwagę mowa posła Głębockiego, stanowcza i jasno stawiająca sprawę:

»Jeżeli minister skarbu Miquel niedawno powiedział, że Polacy uważają państwo pruskie za wroga, to przecież ci, którzy tego rodzaju ustawy przeciw Polakom wydają, nie mają prawa skarżyć się na brak miłości z ich strony. Jesteśmy obowiązani wypełniać powinności nasze wobec państwa pruskiego, ale też nawzajem państwo ma obowiązek uszanowania praw naszych. Tego państwo nie czyni, więc też o przychylności dla tego państwa u nas mowy być nie może. Nasze obowiązki polegają nie na uczuciach, ale na faktach historycznych. Jeżeli się nam prawi o obowiązkach, to jest także obowiązkiem i powinnością państwa pruskiego umożliwiać nam pielęgnowanie i rozwój naszej, od Boga danej narodowości. Juścić nie wątpimy, że wniosek nasz będzie odrzucony, ale odrzucając go, bierzecie na siebie odpowiedzialność za skutki, tj. za wieczny niepokój w kraju. Narzucacie nam walkę: otóż walczyć będziemy z całą odwagą i z całym spokojem za nasze najświętsze prawa. Jesteśmy i pozostaniemy; nie wywędrujemy, ani też karków nie ugniemy, jak niegdyś ugiął rząd pruski, pielgrzymując do Kanossy«.

Odpowiadał p. Głębockiemu minister skarbu Miquel, który zaznaczył, że nie żądał od Polaków przywiązania do Prus, ale ubolewał nad wrogim tonem prasy polskiej. Zdaniem jego, jeżeli tylko Polacy porównają stan Prus Zachodnich i Poznańskiego w chwili przejścia pod panowanie Prus ze stanem dzisiejszym, albo znowu z obecnym stanem prowincyi polskich w innych państwach, to może, zamiast głosu wrogiego, odezwie się głos uznania. »Dla tych prowincyi Prusy robiły i robią więcej, niż dla innych. Rozumiem uczucia Polaków wobec losu ich ojczyzny; jakoż nie czyniłbym ani doradzał niczego, coby tym uczuciom ubliżało. Ale wyrok dziejów zapadł i Polacy we własnym interesie powinniby stanowczo, bez restrykcyi przystać do państwa pruskiego. Gdyby nie te restrykcye, nie nadzieja zmian państwowych i gdyby one nie były bodźcami, to prawdopodobnie okazałoby się możliwem stosowanie innej polityki do Polaków. Dzisiaj wszelako powiedzieć można, że to wy występujecie zaczepnie, dość wskazać na Górny Śląsk. Ale obecnie nie myślę zapuszczać się w te wielkie kwestye. Jestem przekonany, że rząd pruski byłym prowincyom polskim zawsze wymierzał i wymierzać będzie tylko sprawiedliwość i z największemi ofiarami podnosić je pod względem kulturalnym. Nawet tę ustawę pragnęłoby posiąść wiele innych prowincyi pruskich. Podniosła ona cenę ziemi, sprowadziła pracowitych mieszkańców; uczyniła to, co wasi królowie w dawnych czasach czynili, tj. ile możności pomnaża osadników niemieckich«.

Prezes Koła p. Motty słusznie zauważył, że rząd pruski niema w żadnym razie prawa skarżyć się na niewdzięczność Polaków. »Nie my przyszliśmy do Prus, ale Prusacy przyszli

do nas i naszą ziemię zabrali«. Ustawa kolonizacyjna jest dziełem polityki bojowej Bismarka. Dziś, gdy stary kanclerz ustąpił, należałoby i jego politykę względem Polaków złożyć do rupieci.

W toku rozpraw nawet konserwatyści niemieccy przyznawali, że działalność komisyi nie odpowiedziała oczekiwaniom i że położenie osadników Niemców jest dosyć smutnem. Ale, ma się rozumieć, wniosek Koła polskiego odrzucono i budżet komisyi uchwalono.

Podaliśmy treść rozpraw obszerniej, niż robiliśmy to zwykle, nie ze względu na ich doniosłość, ale dla zaznaczenia podniesionego tonu, w jakim teraz posłowie polscy przemawiają. Dodać trzeba, że obecnie najczęściej zabierają głos ci, których opinia publiczna uważała za przeciwników polityki ugodowej.

WĄTPLIWA SOLIDARNOŚĆ.

Koło polskie w Berlinie w swoich sprawach wewnętrznych zachowuje zupełną tajemnicę. Niewiadomo więc: ilu głosami zapadła uchwała, żeby posłowie polscy oświadczyli się w parlamencie przeciw kredytom na budowę kilku nowych okrętów. W każdym razie posłowie są obowiązani głosować solidarnie i jeżeli głosowanie ich miało zaznaczyć stanowisko, jakie zajęło wobec rządu Koło, nikt bez ważnych powodów nie powinien był opuścić posiedzenia.

Przeciw pozycyi na budowę okrętu *Ersatz König Wilhelm* głosowali posłowie:

Stefan Cegielski, Leon Czarliński, Michał Kalkstein, dr. Roman Komierowski, Kubicki, hr. Hektor Kwilecki, Roman Janta-Połczyński, Różycki, dr. Rzepnikowski i Ludwik Ślaski.

Posłowie dr. Zygmunt Dziembowski i Wład. Wolszlegier nie byli na posiedzeniu z powodu choroby.

Uniewinnili się przed marszałkiem z nieobecności swej posłowie bar. Stan. Chłapowski i dr. Krzymiński.

Nie uniewinnili się z nieobecności posłowie: książę Adam Czartoryski, książę Zdzisław Czartoryski, ks. prałat dr. Jażdżewski, książę Radziwiłł i ks. dr. Wolszlegier.

W odmownem głosowaniu imiennem nad pozycyą, żądaną na budowę krzyżownika II klasy O. brali udział następujący posłowie polscy: Stefan Cegielski, Leon Czarliński, ks. dr. Jażdżewski, Michał Kalkstein, dr. Roman Komierowski, dr. Krzymiński, Kubicki, hr. Hektor Kwilecki, Roman Janta-Połczyński, Różycki, dr. Rzepnikowski i Ludwik Ślaski.

Z powodu choroby nie byli posłowie dr. Zygmunt Dziembowski i Wład. Wolszlegier.

Poseł bar. Chłapowski uniewinnił się z nieobecności.

Bez uniewinnienia nie byli na posiedzeniu posłowie książę Adam Czartoryski, książę Zdzisław Czartoryski, ks. Radziwiłł i ks. dr. Wolszlegier z Dąbrówny.

Okazuje się więc, że z 19 posłów 9 i 8 nie brało udziału w głosowaniu. Niektórzy uniewinnili się przynajmniej, ale trzej książęta i dwaj księża nie pofatygowali się nawet wytłómaczyć swej nieobecności. Ks. Jażdżewski głosował w komisyi za przyznaniem kredytu na budowę okrętu *Ersatz König Wilhelm*, nie chciał więc głosować w *plenum* wbrew poprzednio wyrażonemu zdaniu. Trzej książęta zaś ze względu na swoje stosunki dworskie nie chcieli narazić się osobiście cesarzowi i dlatego po prostu zerwali solidarność, bo inaczej nie można nazwać usunięcia się od głosowania bez słusznego powodu. Fakt ten, jak również postawienie w Krakowie kandydatury prof. Kasparka, świadczy dowodnie, że stańczycy poznańscy i galicyjscy nie robią sobie ceremonii z solidarnością narodową, kiedy jest im ona niedogodną.

ROZWIĄZYWANIE WIECÓW WYBORCZYCH.

Z powodu rozwiązywania wieców wyborczych w powiecie świeckim, o czem w numerze poprzednim pisaliśmy, poseł Czarliński wniósł w parlamencie interpelacyę następującej treści:

»W ostatnim czasie zostały w powiecie świeckim, prowincyi zachodnio pruskiej, w Lipinkach (7. b. m.) i w Lińsku 14. b. m.) prawidłowo zameldowane zebrania wyborcze rozwiązane, ponieważ mówcy na nich posługiwali się językiem polskim.

Niżej podpisani zapytują się pana kanclerza rzeszy, czy

1. panu kanclerzowi rzeszy owe wypadki są znane, i

2. czy pan kanclerz rzeszy gotów jest poczynić zarządzenia celem zabezpieczenia praw konstytucyjnych wyborców, aby powtórzeniu się podobnych zajść zapobiedz«.

Wkrótce jednak po wniesieniu interpelacyi, podpisanej nietylko przez Polaków, ale i przez trzydziestu kilku posłów wolnomyślnych, centrowych i ludowców południowo niemieckich — doniosła *Gazeta gdańska:*

»W sprawie rozwiązywań wieców wyborczych, dla tego, iż się na nich mówi po polsku, udał się powiatowy komitet wyborczy do naczelnego prezesa w Gdańsku z zażaleniem, na które otrzymał odpowiedź, że naczelny prezes polecił landratowi świeckiemu, żeby wieców wyborczych jedynie dla języka polskiego nie rozwiązywano«.

Niemcy spodziewają się przeprowadzić w powiecie świeckim wybór swego kandydata Holtza i obawiają się, żeby parlament z powodu bezprawnego rozwiązywania wieców nie unieważnił znowu tego wyboru. Ta obawa tłómaczy niespodziewaną względność naczelnego prezesa.

Pomimo tego rozporządzenia, w 11 dni po jego wydaniu znowu jedno zebranie przedwyborcze zostało rozwiązanem, wprawdzie przez przewodniczącego, ale na żądanie policyi.

W odpowiedzi na interpelacyę posłów polskich sekretarz stanu Bötticher oświadczył w parlamencie, że rząd na przyszłość nie będzie rozwiązywał zgromadzeń wyborczych z powodu języka polskiego i dodał, że pożądanem jest, aby sami Polacy przyczyniali się do załagodzenia stosunków wzajemnych.

ROCZNICA URODZIN WILHELMA I.

Jakkolwiek naogół Polacy w zaborze pruskim wstrzymali się od udziału w obchodzie setnej rocznicy urodzin Wilhelma I, tu i owdzie jednak towarzystwa nasze lub pojedyńcze osoby przyłączały się do uroczystości niemieckich. W Kruświcy np., jak pisze *Goniec wielkopolski*, „odbył się korowód, w którym za staraniem ks. prałata Goebla razem z niemieckiemi wszystkie polskie towarzystwa udział wzięły. Ks. prałat Goebel znajdował się także w korowodzie, idąc na czele związku robotników katolickich, którego jest patronem«.

W Pelplinie, również z inicyatywy księży towarzystwo polskie św. Cecylii większością dwóch głosów (19 przeciw 17) oświadczyło się za udziałem w uroczystości. Miejscowe pismo polskie *Pielgrzym* pośrednio sprawę tę popierało, bo wydrukowało program obchodu, co oburzyło wielu czytelników.

W Sztumie podczas uczty uroczystej zaproponował landrat wysłanie telegramu do Bismarka. Trzej obecni Polacy zaprotestowali, co oburzyło Niemców i, zdaniem naszem, słusznie, bo kto właził między wrony, powinien krakać, jak one.

Udział towarzystw polskich w uroczystości, pomimo że oświadczyła się przeciw niemu wyraźnie cała prasa, to

niewątpliwie jedna z wielu smutnych pozostałości bałamuctwa ugodowego.

Zaznaczyć jednak trzeba, że w wielu miejscowościach Polacy protestowali nawet jawnie przeciw obchodowi. W Gnieźnie landrat usunął od obowiązków trzech członków dozoru szkolnego, którzy nie zgodzili się na wyasygnowanie pewnej kwoty z funduszów szkolnych na iluminacyę budynku.

Do owych trzech członków dozoru szkolnego wystosował landrat następujące pismo:

Jako członek tutejszego katolickiego dozoru szkolnego, robiłeś Pan trudności co do udzielenia środków z kasy szkolnej na godne upiększenie i iluminacyą gmachu szkolnego na uroczystość pamiątkową cesarza Wilhelma Wielkiego. Przez to dałeś Pan poznać, że zamyślasz odmawiać udziału swego w osiągnięciu celów niemieckiej szkoły ludowej, a temi celami są: pobudzanie i wpajanie miłości i wierności do domu panującego i ojczyzny.

»Wskutek tego nie jesteś Pan godnym zaufania, jakiego urząd członka dozoru szkolnego wymaga, i niemożna się spodziewać, abyś Pan czynnym był dodatnio w administracyi szkolnej. Cofam dlatego potwierdzenie Pańskiego wyboru i proszę o wstrzymanie się od wszelkich dalszych czynności urzędowych«.

Jednemu z radców miejskich, który głosował przeciw asygnowaniu funduszów na uroczystości, odebrano za karę dostawy rządowe.

GALICYA.

POSŁOWIE LUDOWI i KOŁO POLSKIE.

Według dawnego zwyczaju dawny prezes p. Jaworski zawiadomił wszystkich posłów polskich w Galicyi o zebraniu, zwołanem w celu utworzenia Koła. Nie zawiadomiono tylko dwóch socyalistów, ponieważ wstąpili już do innego klubu, a członek Koła nie może należeć do żadnej innej organizacyi parlamentarnej. Stojałowczycy na posiedzenie nie przybyli, ale wystosowali do pana Jaworskiego bardzo grzeczny list, w którym oświadczają, że chcą przedewszystkiem zoryentować się w położeniu politycznem, więc na razie do Koła wstąpić nie mogą.

Zjawili się natomiast trzej ludowcy, ale w wyborze prezesa, którym został p. Jaworski, udziału nie brali. Dr. Winkowski złożył nowowybranemu prezesowi deklaracyę pisaną, że posłowie ludowi zgadzają się na solidarność w sprawach ogólno-narodowych i ekonomicznych, o ile te ostatnie dotyczą stosunku Galicyi do innych prowincyi. Natomiast żądają, żeby we wszystkich innych sprawach mogli bez specyalnej uchwały Koła przemawiać w izbie, stawiać wnioski i interpelacye. Proszą wreszcie o odpowiedź w ciągu 8-miu dni i dopóki jej nie otrzymają, nie mogą brać udziału w obradach Koła.

Pan Jaworski tej deklaracyi nie odczytał, namawiał nawet dra Winkowskiego, żeby ją cofnął i przekazał komisyi, która będzie wybrana do zmiany statutu Koła. Istotnie komisyę taką wybrano, jednakże zarówno z ogólnego zebrania Koła, jak i z zebrania lewicy demokratycznej, na którem byli również obecni posłowie ludowi, wynieśli oni wrażenie, że pożądana zmiana statutu nie nastąpi.

Pojednawcze swoje usposobienie zaznaczyli posłowie ludowi w ten sposób, że zajęli miejsca obok Koła polskiego. Umyślnie jednak wyznaczono im na drugi dzień miejsca oddzielne, jak gdyby dla tego, żeby nie mogli swobodnie porozumiewać się ze sobą. Okazało się, że poseł Dawid Abrahamowicz samowolnie chciał wyznaczyć miejsca wszystkim posłom z Galicyi. Stojałowczyków odrazu wzięli w opiekę antysemici i dali im miejsca po lewej stronie izby. Obecnie i posłowie ludowi przenieśli się z prawej strony izby na lewą i zajęli miejsca obok stojałowczyków, w sąsiedztwie antysemitów i socyalistów. Ta zmiana miejsca oznacza poniekąd wyrzeczenie się solidarności formalnej z Kołem.

Nowa Reforma, która przedstawia opinię najliberalniejszych posłów w Kole polskiem, zaznacza, iż »*Czas* z widocznym zachwytem zapisuje fakt, że trzej ludowcy nie wstąpili do Koła. Jest się z czego cieszyć! A czy też nie godziło się ułatwić im tego wstąpienia do poselstwa polskiego? Czy prezesowi Jaworskiemu byłaby spadła korona z głowy, gdyby kilku ciepłemi słowy był powitał tych trzech reprezentantów ludu polskiego, którzy pod hasłem narodowej solidarności zostali wybrani posłami, i gdyby dał wyraz nadziei, że nie gdzieindziej, tylko w Kole polskiem szukać będą sprzymierzeńców«.

Pogłoska, że ludowcy i stojałowczycy zamierzają wstąpić do klubu antysemickiego, jest plotką, nie mającą żadnej podstawy. Zadanie niezależnych posłów polskich w Radzie państwa tak jest ważnem i zarazem tak wdzięcznem, że nie potrzebują szukać żadnych sojuszów, nigdy zresztą nie wstąpili bydo obcego klubu.

PIERWSZA POTYCZKA.

Natychmiast po zebraniu się Rady państwa, p. Daszyński w imieniu socyalistów i oddzielnie p. Danielak w imieniu stojałowczyków postawili nagły wniosek o uwolnienie posła Tomasza Szajera, więzionego dotychczas w Jarosławiu pod zarzutem obrazy majestatu. Tymczasowy przewodniczący p. Proskowetz podniósł kwestyę formalną: czy przed ukonstytuowaniem się izby może być jakikolwiek wniosek rozstrząsany. Zdanie przewodniczącego podzieliło Koło polskie, którego prezes p. Jaworski oświadczył jednak, że jeżeli izba weźmie wniosek pod obrady, to posłowie polscy głosować będą za nagłością.

Rzeczywiście, można spierać się o to, czy parlament ma prawo rozstrzygać jakikolwiek wniosek przedtem, nim się ukonstytuował. Ale Kołu polskiemu nie wypadało czepiać się tej kwestyi formalnej, tymbardziej, że sprawa była dla niego z wielu względów drażliwą.

Z tego błędu skorzystał zręcznie p. Daszyński, który z właściwą mu wymową popierał wniosek natychmiastowego uwolnienia Szajera i przy sposobności napadł ostro na Koło. P. Daszyński postawił sprawę na gruncie zasadniczym, natomiast drugi debiutant, p. Danielak opowiadał o tem, że Szajer zachorował, że żona jego i dzieci cierpią nędzę i nakoniec »w imieniu wiernego cesarzowi ludu polskiego« prosił o wypuszczenie oskarżonego, jak gdyby choroba Szajera, nędza jego żony i dzieci lub wiernopoddańcza prośba ludu polskiego miały jakiekolwiek znaczenie wobec sporu o zasadę nietykalności poselskiej.

Jakkolwiek drugą część wniosku p. Daszyńskiego, żeby Szajera uwolnić na cały ciąg sesyi, Rada państwa pośrednio odrzuciła, poseł krakowski po pierwszym występie wydaje się tryumfatorem i zarazem pogromcą Koła, które dobrowolnie podstawiło plecy pod dotkliwe razy

Podczas rozpraw fatalnie skompromitowało się Koło swojem dwuznacznem postępowaniem. Kiedy z kolei Kronawetter zażądał postawienia sprawy Szajera na porządku dziennym, komisya parlamentarna Koła postanowiła głosować za tym wnioskiem. Izba uchwaliła głosowanie imienne. I oto zaczęła się komedya, która według sprawozdań w dziennikach taki miała przebieg:

Sekretarz, czytając listę według porządku alfabetycznego, wywołuje nazwisko Abrahamowicza Dawida, który nie troszcząc się o uchwałę komisyi, najspokojniej powiada: *nie!* t. j. głosuje przeciw wnioskowi. Prezes Jaworski chce ratować solidarność i jednocześnie woła: *tak!* W izbie śmiech, na ławach polskich zdumienie. Przewodniczący, nie wiedząc co to znaczy, każe powtórnie zapytać p. Abrahamowicza który znowu powiada: nie! gdy jednocześnie p. Jaworski stara się go przekrzyczeć i woła: tak!

Niewiadomo, jak Koło załatwiło tę sprawę na posiedzeniu. Właściwie powinno było wykluczyć p. Abrahamowicza, który wyraźnie zerwał solidarność. Ale z pewnością nic z tego nie wyniknie, tymbardziej, że inni konserwatyści naśladowali p. Abrahamowicza, a niektórzy członkowie lewicy wyszli z izby.

Koło polskie w pierwszem wystąpieniu swojem wykazało i nieudolność polityczną, i rozprzężenie wewnętrzne. Ludzie, znający wybornie skład Koła, twierdzą, że niema w niem ani jednego dobrego mówcy, takiego np. który mógłby zetrzeć się z Daszyńskim. *Dziennik polski* pociesza się wiadomością, telegraficznie z Wiednia otrzymaną, że »powszechną uwagę zwraca na siebie wytworna postać dr. Dulęby«. No, ale tego rodzaju powodzenie nie wystarcza do ocalenia reputacyi politycznej Koła polskiego.

OŚWIADCZENIE RUSINÓW.

Na posiedzeniu Rady państwa trzej posłowie ruscy Okuniewski, Jarosiewicz i Taniaczkiewicz wręczyli przewodniczącemu pismo, w którem oświadczają:

»Ostatnie wybory w Galicyi wschodniej, przy których padło 8, raniono 29 a uwięziono 800 ludzi, przekonały Rusinów, że rząd obecny nie cofnie się przed żadnym gwałtownym środkiem, by nie dopuścić do wyborów posłów w myśl swobodnej woli ludu ruskiego. Rząd stawia naród ruski w Galicyi wobec alternatywy: albo zgodzić się na państwową ideę narodu polskiego, lub milczeć i umrzeć. Dążenia do zagwarantowanych swobód konstytucyjnych, piętnuje rząd jako zbrodnicze powstanie i w ten sposób przedstawił nawet wobec osoby najwyższej. Wobec tego wyż wymienieni posłowie zastrzegają się przeciw podobnemu postępowaniu, a, idąc za wolą całego narodu, zwalczać będą wszelkimi istniejącymi środkami rząd obecny«.

Ustęp o państwowej idei polskiej, na którą Rusini muszą się zgodzić lub umrzeć, jest niewątpliwie konceptem p. Okuniewskiego. Ten horodeński mąż stanu z powodu odnowienia Wawelu wystąpił już przeciw idei państwowej polskiej, twierdząc, że Galicya przyłączona została do Austryi z tytułu praw korony węgierskiej. Dziwnie trochę wyglądają pretensye prawno-polityczne w ustach radykałów, którzy powinni przedewszystkiem bronić interesów realnych ludu ruskiego. Jeżeli już jednak weszli na grunt prawno-polityczny, to powinni wiedzieć, że Galicya ostatecznie i formalnie została przyłączona do Austryi na podstawie traktatu wiedeńskiego, chociaż wschodnia część kraju, z wyjątkiem obwodu tarnopolskiego, który przez kilka lat należał do Rosyi, była w jej posiadaniu od pierwszego rozbioru. Tylko postanowienie kongresu wiedeńskiego, jako umowa międzynarodowa może być podstawą formalną prawno-politycznego stosunku Galicyi do państwa, a to postanowienie pośrednio uznaje ideę państwową polską, przyrzeka bowiem poszanowanie praw narodowości polskiej i polskich instytucyi narodowych.

Dla nas idea państwowa polska nie potrzebuje tego potwierdzenia, opiera się na innych prawach i zasadach, ale jeżeli pp. Okuniewscy i inni tego rodzaju politycy odwołują się do austryackiego prawa państwowego, to i na tym gruncie pretensye ich nie mają i mieć nie mogą żadnej podstawy.

EPILOG WYBORÓW.

Przypadek zrządził, że ostatni głos w galicyjskiej akcyi wyborczej do Rady państwa wyszedł ze Lwowa. Wiadomy jest ostateczny wynik lwowskich wyborów. W ściślejszem głosowaniu otrzymali większość kandydaci »demokratyczni« prof. Piętak i adw. Dulęba, padli zaś dr. Karol Lewakowski i Henryk Rewakowicz. Różnica głosów między zwycięzcami i zwyciężonymi była stosunkowo nieznaczna, natomiast udział w głosowaniu nadzwyczaj ożywiony. Szale ważyły się do ostatniej niemal chwili i przechyliły się wreszcie na stronę »demokracyi« rządowej. Kandydaci ludowi ulegli, z walki wyszli jednak z honorem, bardzo poważna bowiem cyfra wyborców za nimi się oświadczyła.

Nie da się zaprzeczyć, że ostatnie wybory lwowskie miały do pewnego stopnia znaczenie zasadnicze, nietyle ze względu na tych, którzy ostatecznie uzyskali mandat poselski, jak raczej ze względu na kierunek i przekonanie polityczne, reprezentowane przez kandydatów pokonanych. Obaj oni byli i są »niewygodni« zarówno dla rządu jak dla stańczyków, mniej lub więcej konserwatywnych: dr. Lewakowski naraził się nie przez znane swe wystąpienia w parlamencie wiedeńskim, Rewakowicz całem swem życiem i działalnością publicystyczną. W ich osobach pobito stronnictwo ludowe, w którego radzie naczelnej obaj zajmują najwyższe stanowiska, pobito jednak środkami, które zwyciężonym zaszczyt tylko przynieść mogą. Sposób, w jaki większość prasy lwowskiej zwalczała kandydatury Lewakowskiego i Rewakowicza, trudno parlamentarnym określić wyrazem. Cztery pisma codzienne rzucały się na nich z zajadłością, wśród której wszelkie poczucie godności dziennikarskiej zginęło bez śladu. Współzawodniczyły z sobą te same organy opinii publicznej w kłamliwych inwektywach i napaściach osobistych, które w bezstronnym i zdala od zgiełku politycznego stojącym człowieku musiały głęboki wstręt budzić. Przez kilkanaście dni z rzędu powtarzano te szlachetne ataki, odsądzając od czci i wiary kandydatów ludowych, nie pozostawiając literalnie suchej nitki na ludziach, którzy bądź co bądź potężnemu ruchowi o podkładzie wybitnie społecznym nadali piętno szczerze patryotyczne i narodowe. Gdy jednak i tego jeszcze było zamało, chwycono się środka, który w podobnych wypadkach we Lwowie, niestety, decyduje, »zjednano« tłumy ludności żydowskiej i z ich pomocą dopiero zwyciężono przeciwników. Z ogólnego więc stanowiska lwowskie wybory pozostawiły po sobie niesmak, wrażenie przykre i upokarzające.

Gdy w piątej kuryi głosy żydowskie padały solidarnie na kandydatów socyalistycznych, niektórzy starali się ten skądinąd dziwny objaw tłómaczyć uświadomieniem żydowskich mas, pojmujących rzekomo potrzebę i racyę bezwzględnej opozycyi. Kilka dni później ci sami żydzi we Lwowie głosują na kandydatów rządowi miłych, z których jeden zwłaszcza dał im się niedawno porządnie we znaki, i popierają ich za cenę argumentów brzęczących i obietnic, w dodatku nader wątpliwych. Jak tu pogodzić jedno z drugiem? W którym z tych dwóch wypadków żydzi działali istotnie z przekonaniem politycznem? Może w obu?...

Żydów faktycznie wzięto tym razem podobno na kawał. Rozpuszczono mianowicie pogłoskę, że namiestnik przyrzekł im ograniczyć t. zw. spoczynek niedzielny, jeżeli dopomogą do zwalczenia kandydatów ludowych. W rzeczywistości toczyły się w tej mierze rokowania kahału z rządem. *Kuryer Lwowski* na trzy dni przed wyborami poru-

szył tę sprawę, domagając się urzędowego zaprzeczenia. Uczyniła to *Gazeta Lwowska*, organ rządowy, ale dopiero po dokonanym wyborze, i w formie. potwierdzającej domysły.

OŚWIATA LUDOWA.

W Krakowie odbyło się doroczne Walne Zgromadzenie członków tamtejszego Towarzystwa oświaty ludowej, które usiłuje rozwijać działalność równocześnie w kilku kierunkach: zakłada po wsiach czytelnie i zaopatruje je w książki, utrzymuje w Krakowie i prowadzi szkołę dla sług żeńskich, urządza popularne odczyty, a od niedawna zajmuje się nadto wydawnictwem utworów literackich, treścią dla ogółu przystępnych. Głównym jednak celem Towarzystwa jest zakładanie czytelni. Sprawozdanie zarządu, wydane za dwa lata ubiegłe, zaznacza, że w r. 1895 założono nowych czytelni 44, w r. 1896 tylko 34, zaopatrzono je razem w 9.300 książek. W tym samym czasie uzupełniono biblioteki w 341 czytelniach, dawniej istniejących, posłano im ogółem 18.700 dziełek ludowych. Liczba czytelni założonych od r. 1882, t. j. przez cały czas istnienia Towarzystwa, wynosi 693, sprawozdanie wszakże nie tai, że w rzeczywistości jest ich znacznie mniej, upadło bowiem czytelni 32, a około 30 istnieje tylko na papierze. Zapewne i ta ostatnia cyfra, w porównaniu z rzeczywistym stanem, jest optymistycznie skromną.

Upadanie czytelni przypisuje zarząd Towarzystwa przedewszystkiem niedbalstwu kierowników, którzy zawodzą nieraz pokładane w nich nadzieje. Zdaje się atoli, że, jak to słusznie podniósł jeden z członków zgromadzenia, złe tkwi w samej organizacyi, która losy czytelni składa niepodzielnie w ręce upatrzonej przez zarząd główny jednostki i sama na niechybny upadek naraża czytelnię z chwilą, gdy ta jednostka-kierownik zapomina o obowiązkach, dobrowolnie na się przyjętych. Centralizacya taka, »wyższymi« dyktowana względami, nie może być dźwignią pożądanego rozwoju Towarzystwa. Na zaradzenie złemu proponowano sposób łatwy, naturalny i praktyczny, polegający na zgrupowaniu około każdej czytelni grona osób z inteligencyi i ludu, któreby miały zbiorową opieką otaczać te instytucye miejscowe. Więc zamiast centralnego, system wręcz przeciwny. Najmniejszej nie ulega wątpliwości, że taka reforma wyszłaby całemu Towarzystwu na zdrowie, a miałaby i tę zaletę, że zdjęłaby z niego cechę zachowawczo-stronniczą, tak zabójczą dla wszelkich instytucyj kulturalnych. Zdaje się, że ta właśnie cecha miała w zgromadzeniu zbyt licznych jeszcze zwolenników, powyższy wniosek bowiem nie został przyjęty.

Towarzystwo liczyło z końcem 1896 r. około 650 członków. Zmieniony statut pozwala na rozszerzenie zakresu działania poza granice Galicyi.

POLACY NA WYSTAWIE PARYSKIEJ W 1900 R.

Jak wiadomo, za lat trzy ma być w Paryżu urządzona wystawa światowa, która, o ile sądzić można z przygotowań dziś już czynionych, treścią swą i rozmiarami prześcignie wszelkie dawniejsze i nowszej daty podobne przedsięwzięcia. Udział w niej zapowiedziały między innemi wszystkie państwa Europy. Z ramienia rządu austryackiego jeneralny komisarz Przedlitawii, dla tej wystawy mianowany, wygłosił niedawno odczyt we Lwowie i obudził dla niej podobno w sferach »miarodajnych« żywe zainteresowanie. Utworzy się więc zapewne osobny komitet miejscowy, który ujmie w swe dłonie kierownictwo starań potrzebnych w tym celu, aby zapewnić Galicyi na wystawie paryskiej miejsce, jeżeli nie pokaźne, to przynajmniej nie ostatnie. Otóż przewidując powstanie takiego komitetu, pragniemy z góry już na dwie okoliczności ważne zwrócić uwagę. Chodziłoby najpierw o to, aby Galicya reprezentowaną była istotnie i ile możności poważnie, czyli mówiąc wyraźniej — nie w taki poprostu śmieszny sposób, jak to się działo kilkakrotnie dawniejszymi czasy i na ostatniej wystawie paryskiej. Lepiej nie brać wcale udziału, niż kompromitować się przed światem. Druga rzecz, jeszcze ważniejsza, dotyczy firmy, pod jaką mamy wystawę obesłać. Dla nas bowiem nie może być obojętnem, gdy polscy wystawcy z rozmaitych zaborów (Niemcy i Rosya zapowiedziały również czynny udział) mają ginąć w działach austryackich, pruskich, rosyjskich, — a, przeciwnie, musi nam bardzo zależyć na tem, abyśmy uzyskać mogli dla siebie wyłącznie, minimalny bodaj, ale odrębny dział polski. Domagając się tego, mamy nietylko sztukę polską na względzie, której sobie w terytoryalnem rozbiciu nawet wyobrazić nie można, ale inne dziedziny naszej produkcyi fizycznej i umysłowej, która bez względu na stosunki polityczno państwowe, w jakich żyjemy, w wielu razach nosi na sobie przedewszystkiem narodowe piętno polskie.

Zdajemy sobie sprawę z trudności, na jakie powyższa myśl natrafi, tak u nas na miejscu, jak i we Francyi, trudności tym większe, że nie narody, jako takie, ale państwa obesłać mają wystawę. Sądzimy jednak, że największe przeszkody przezwyciężyć można, byle tylko kwestyę postawić poważnie a stanowczo, — i w czas około niej się zakrzątnąć. Galicya, mająca względnie największą swobodę działania, powinna w tym kierunku z śmiałą wystąpić inicyatywą. Zasługa tych, którzyby myśl powyższą urzeczywistnili, byłaby z narodowego punktu widzenia niemała.

Dlaczego na wystawie paryskiej nie ma istnieć to przynajmniej, co widzimy ostatnimi czasy na międzynarodowych wystawach sztuki w Niemczech, gdzie obok działów takich, jak: *Frankreich*, *Russland* i t. d., urządza się osobny dział p. n. „*Werke Polnischer Künstler?*"

Z KRESÓW.

DZIWNA TAKTYKA.

Zaznaczyliśmy już kilkakrotnie, że działalność narodowa w Cieszyńskiem nie ogarnia miast, które są zupełnie zaniedbane i oddane na łup germanizacyi, chociaż żywioł polski jest w nich liczebnie silny. Dotychczas jednak podczas wyborów do Sejmu opawskiego i Rady państwa stawiano zwykle *pro forma* kandydatów polskich.

Podczas wyborów ostatnich w okręgu miejskim Cieszyn — Frysztat — Frydek — Bogumin nie postawiono wcale kandydata słowiańskiego, Polaka lub chociażby Czecha, bodaj dla policzenia głosów. Dotychczas kandydował z tych miast dr. Michejda, któremu teraz przeznaczono okręg Bielsk — Strumień — Skoczów — Jabłonków, gdzie otrzymał zaledwie 47 głosów. Uczyniono to, żeby nie szkodzić kandydatowi niemiecko-narodowemu Rosnerowi, którego narodowcy polscy przeciw dotychczasowemu liberalnemu posłowi Demelowi popierali.

Gwiazdka cieszyńska poleciła kandydaturę Rosnera, »największego wroga narodowości polskiej, jaki tylko na świecie może istnieć«, zdaniem *Głosu ludu śląskiego.* Na zebraniu przedwyborczem we Frysztacie, w obecności polskich wyborców Rosner krytykował liberałów niemieckich za to, że niedosyć energicznie pracują nad wynarodowieniem ludności polskiej. Mowa ta była po prostu policzkiem,

wymierzonym przewódcom polskiego stronnictwa narodowego, którzy zawarli podobno jakiś kompromis z narodowcami niemieckimi w Cieszynie. Korzyść realna z takiego kompromisu bardzo jest wątpliwa, a szkodę wyrządza on wielką, bo obniża świadomość polityczną ludności.

Kandydaturę Rosnera popierało stowarzyszenie katolickie *Christlich politischer Verein in Teschen*. W związku tym do którego należą Niemcy i zniemczeni Polacy, wodzą rej księża. Związek wydał broszurkę p. t. *Wen soll ich wahlen?* rozrzucaną w licznych egzemplarzach pomiędzy ludnością polską i oskarżającą stronnictwo niemiecko-liberalne, że pozwoliło na równouprawnienie językowe.

EMIGRACYA Z BUKOWINY.

Od kilku miesięcy — pisze wychodząca w Czerniowcach *Gazeta polska*, wyludnia się Bukowina, ta sama Bukowina, której zawsze braknie rąk roboczych. Niedawno znowu (22. marca) wyruszyło z Czerniowiec do Kanady 230 włościan, pochodzących z Rohozny i wsi okolicznych. Emigrują niemal wyłącznie Rusini i na ogół wcale nie biedacy, którzy grunta i inwentarz ruchomy sprzedają za bezcen.

Emigracya z kraju, w którym właściciele obszarów dworskich sprowadzają na lato aż z pod Krakowa robotników, nie jest zapewne objawem naturalnym, ale nie możemy zgodzić się z niektóremi pismami polskiemi, które ruch ten nazywają niepożądanym. Bo przecie emigracya z Bukowiny ułatwia imigracyę ludności polskiej w tym kraju.

Jeden z obywateli bukowińskich, p. Mlcoch wystąpił z projektem, żeby rząd nabywał grunta, sprzedawane dziś przez wychodźców spekulantom i odstępował je na dogodnych warunkach kolonistom, których należałoby sprowadzać z Czech, Morawii i Śląska.

Słusznie zaznacza *Gazeta polska*, że oddanie tego rodzaju akcyi w ręce rządu byłoby niewłaściwem i wątpić można czy rząd chciałby się jej podjąć. Nie wydaje się również prawdopodobnem, żeby ludność robotnicza Czech i Morawy rozochociła się do emigracyi na Bukowinę i przystosowała do warunków miejscowych. »Pocóż sięgać daleko, kiedy w Galicyi zachodniej mamy tak wiele ludu rolnego, który zmuszonym jest do emigracyi, a zna prawie identyczne stosunki tutejsze, bo corocznie masami przybywa tu na zarobek. Lud ten znamy i cenimy jego pracowitość, a kolonizacya nie przedstawiałaby wielkich trudności. Wszak dzisiaj już sam on kieruje się w strony tutejsze i tu i ówdzie tworzy kolonie«.

Bukowina, zwłaszcza północna część tego kraju, z której właśnie odbywa się emigracya do Kanady, nadaje się wybornie do kolonizacyi przez żywioł polski i chwila obecna jest do podjęcia tego zadania ważnego bardzo odpowiednią. Nie można jednak oddawać tej sprawy w ręce rządu krajowego, usposobionego nieprzychylnie względem Polaków. Zdaniem *Gazety polskiej*, które zupełnie podzielamy, trzeba byłoby zawiązać specyalne towarzystwo kolonizacyjne. Nikt chyba nie przypuszcza żeby emigracya na Bukowinę przybrała wielkie rozmiary, więc nie powinno być w tym wypadku obaw, które tamowały dotychczas prawidłowy rozwój sprawy emigracyjnej. Przesiedlenie w ciągu paru lat na Bukowinę kilku a nawet kilkunastu tysięcy ludzi z zachodniej Galicyi zmian w stosunkach tutejszych nie wywoła, tam zaś zwiększy liczebnie i wzmocni żywioł polski, stanowiący dziś 5—6 % ludności miejscowej.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

TEATR POLSKI W BERLINIE.

Trupa poznańska w maju r. b. zamierza urządzić szereg przedstawień w Berlinie, przeznaczonych dla licznej kolonii polskiej. Liczba Polaków w Berlinie dochodzi przynajmniej do 30.000, niektórzy rachują 50, a nawet 70.000. Przeciw temu projektowi urządzenia przedstawień w Berlinie wystąpił w *Kuryerze warszawskim* p. Czesław Jankowski, dowodząc, że teatry niemieckie są znakomite i że skromna trupa poznańska narazi się tylko na kompromitacyę i »wyrządzi krzywdę naszej twórczości artystycznej«.

Uwagi te byłyby poniekąd słuszne, gdyby przedstawienia trupy poznańskiej miały na celu zaznajomienie Niemców z twórczością dramatyczną polską i popisywanie się talentami. Ale teatr polski w stolicy Niemiec nie liczy na publiczność obcą nie liczy nawet na szczupłe koło zamieszkałej tam inteligencyi polskiej. Widzami na przedstawieniach trupy poznańskiej w Berlinie będą przeważnie rzemieślnicy i robotnicy polscy, urzędnicy przedsiębiorstw prywatnych, pracownicy kupieccy i t. p. ludzie, którzy nie mają takich wysokich wymagań estetycznych, jak p. Jankowski, ludzie, którzy z radością szczerą usłyszą na obczyźnie mowę polską, przyjrzą się obrazom życia polskiego. Ci wszyscy ludzie chętnie uczęszczają na przedstawienia amatorskie i nie mają takiego wybrednego czy raczej zepsutego smaku, żeby ich wymagań estetycznych nie mogła zadowolnić, wcale zresztą przyzwoita, trupa dramatyczna poznańska.

Nie będzie ich również razić i ta okoliczność, że na »arenę popisów przygodnych« wybrano salę teatrzyku *Reichshallen*, gdzie odbywają się *Bockbierfesty*.

Teatr istnieje nietylko dla eleganckich panów i wymagających estetyków, ma on inne jeszcze zadania oprócz tych, które jedynie rozumie p. Jankowski. Gdyby nawet występy trupy poznańskiej w Berlinie nie zyskały powodzenia, pożytek z nich jest niewątpliwy. Mniejsza o to, co powiedzą Niemcy, »tak wrogo usposobieni dla wszystkiego, co nasze«, bo co nas właściwie sąd Niemców obchodzi. Teatr polski istnieć powinien dla kolonii polskiej, a ta z pewnością w ogromnej większości będzie z niego zadowoloną.

OSADY POLSKIE W BOŚNII.

Do Bośnii przed trzema laty wyemigrowało sporo Polaków, poddanych austryackich, osiedlonych poprzednio na Wołyniu, skąd ich rząd rosyjski wydalił. Przez półtora roku czekali na grunta, które nareszcie dała władza miejscowa, ale tylko rodzinom, mającym 600 złr. na zagospodarowanie się i inne koszta. Osiedliło się 72 rodzin, pozostali wyemigrowali do Brazylii.

Polacy utworzyli 3 kolonie, z których dwie, Celinowac i MilowaczkaKozara a leżą w powiecie gradyskim, a trzecie, Rakiczanka, w powiecie banialuckim. Koloniści starają się u rządu o nadanie tym koloniom nazw polskich. W Milowaczkiej Kozarze stanąć ma w przyszłości kościół katolicki. Obecnie Polacy należą do parafii niemieckiej w osadzie Windhorst. Od czasu do czasu dojeżdża do kolonij polskich ks. Franciszek Król, kapelan klasztoru Nazareth pod Banialuką.

Oprócz Polaków mieszka w 3 koloniach 20 rodzin słowackich (?) z Bukowiny, już zresztą spolszczonych i 5 rodzin ruskich. Osadnicy polscy pochodzą z powiatów rzeszowskiego, niskiego i kolbuszowskiego. Mają oni nadzieję, skoro się wzmogą na siłach, sprowadzić księdza z Galicyi

i założyć szkołę polską. Wychodzcy proszą o książki i pisma polskie, które posyłać należy pod adresem Pawła Rochaczka w Kozarze Milowackiej, poczta Rudolfstadt.

W Bośnii mieszka kilka tysięcy Polaków, przeważnie urzędników, chociaż jest również trochę rzemieślników i nawet kupców. W licznej kolonii urzędniczej niema żadnego życia narodowego. Zdarza się nieraz, że Polacy urzędnicy mówią pomiędzy sobą po niemiecku. Jakaż różnica między obojętnością tej inteligencyi dla sprawy narodowej, a usiłowaniami garstki chłopów, którzy, rzuceni w obce otoczenie, dokładają wszelkich starań dla utrzymania swej wiary i narodowości. Ma się rozumieć, emigracya polska do Bośnii niema przyszłości i nigdy nie może się rozwinąć na szerszą skalę. Skoro już istnieją tam kolonie, należy w nich życie narodowe utrzymywać, niewłaściwem jest jednak zachęcanie do emigracyi do Bośnii, w imieniu księdza Króla zamieszczone w jednem z pism ludowych. Ta okoliczność, że z Bośnii łatwiej wrócić do domu niż z Brazylii, nic nie znaczy, bo wychodzcy z kraju przeludnionego, jakim jest w obecnych warunkach Galicya, nie wracają, gdyż nie mają po co wracać. Kierować wychodztwo trzeba tam, gdzie ma ono możność nietylko utrzymania, ale i rozwijania życia narodowego i rozszerzania się terytoryalnego.

SPRAWY AMERYKAŃSKIE.

Ostatnie tygodnie w Stanach przyniosły skromną wiązankę faktów, interesującą ogół polski. Zaczynając od dodatnich, notujemy zgodne popieranie przez Polaków chicagoskich powtórnej kandydatury znanego obywatela p. Piotra Kiołbassy na urząd skarbnika miasta Chicago. Pierwsze urzędowanie obywatela K. jest pamiętne w dziejach Chicago, jako przykład dany przez Polaka Amerykanom, jak należy traktować powierzony sobie ważny urząd publiczny. Drugi przykład solidarności dali Polacy w Milwaukee, stając w obronie zagrożonego przez amerykańskich ultranarodowców stanowiska języka polskiego. Szło tutaj o zniesienie prawa, wymagającego, żeby postanowienia rady miejskiej były ogłaszane po polsku w miejscowej gazecie codziennej, *Kuryerze Polskim.*

Bil immigracyjny,który, chociaż w zmienionem brzmieniu, zawsze jednak mógłby dotkliwie dać się uczuć wychodźcom polskim, nie otrzymał wprawdzie sankcyi poprzedniego prezydenta Clevelanda, przeszedł jednak teraz powtórnie przez izbę posłów wymaganą przez prawo większością głosów; zostaje jeszcze nadzieja, że senat, który przyjął bil większością tylko trzech głosów, nie tak rychło zmieni swoje stanowisko względem tej kwestyi, podającej w wątpliwość słynną gościnność amerykańską.

Z faktów ujemnych nie można pominąć zaostrzenia się polemiki między pismami polskiemi, szczególnie w Chicago, do niezwykłych nawet w Ameryce rozmiarów. Czasami polemika ta posiada wszystkie cechy bezwiednego humoru i nie bez powodzenia zastępuje czytelnikom brak polskiego pisma humorystycznego. W pewnem np. piśmie jakiś, naturalnie anonimowy, korespondent z Warszawy wytacza odrazu najgrubsze działo przeciwko Związkowi N. P., oświadczając na podstawie jakoby najlepszych informacyi, że działalność Związku jest wielce miłą sercu wiernych sług cara Mikołaja.

Najsmutniejsze zjawisko przedstawia polemika osobista. Argumenty *ad rem* zdaje się nie są tu jeszcze znane; *argumentum ad hominem* panuje wszechwładnie. Jeżeli się np. zarzuci komu, że błędnie przytoczył łacińską cytatę, to można się spodziewać mniej więcej takiej odpowiedzi: ja się tam nie uczyłem łaciny, ale ty jesteś anarchista. Żyd, szwab, anarchista, szpieg, perekińczyk, szlachcic tromtadrata, patryota — oto normalny arsenał przeciętnego pisma. Od czasu, jak w zaborze rosyjskim zaczęto się zajmować ugodową polityką, do zapasu pocisków przybył wyraz »Spasowicz!«

Na zakończenie warto przytoczyć sensacyjną wiadomość, dotyczącą podziemnej roboty, którą prowadzi na gruncie wolnej Ameryki rząd rosyjski. Jeden z najpoważniejszych dzienników nowojorskich *The World* pisze z dnia 22 lutego co następuje: »P. Kotzebue, obecny przedstawiciel cara w Waszyngtonie, jak się z wiarogodnego źródła dowiadujemy, wydał przeszło pół miliona dolarów na tajną służbę w Stanach Zjednoczonych. Polskie towarzystwa patryotyczne mnożą się, a szpiedzy rosyjscy znajdują się wszędzie, aby przeciwdziałać ich usiłowaniom w celu wspierania patryotów w kraju«.

T. S—ki.

PRZEGLĄD PRASY.

═ Przypomnienie na czasie daje posłom polskim w Radzie państwa *Nowa Reforma:*

„Błędem jest wielkim, że poselstwo nasze we wszystkich sprawach solidaryzuje się z rządem krajowym. Czy mamy istotny wpływ na ten rząd, czy on odpowiedzialny jest przed Sejmem? Nie — on robi, co chce, nie licząc się z opinią kraju; a gdy go zaatakują Niemcy, czy też Polacy z poza Koła, to posłowie nasi uważają to za obrazę narodową, wyruszają w pełnej zbroi ku obronie galicyjskich starostów i komisarzy. Jeżeli zarzut jest niesłuszny, da sobie minister z nim rady; niechby wreszcie ktoś z posłów sprostował fakt, fałszywie przedstawiony. Lecz nie możemy się zgodzić na to, aby wytykanie rządowi krajowemu, że postępuje źle i nielegalnie, było naruszeniem naszej czci narodowej i honoru kraju dlatego, że dzieje się to przed forum parlamentu".

Dawniej, jak wiadomo, posłowie polscy nie mieli tego skrupułu i nieraz energicznie występowali w Radzie państwa przeciw rządowi krajowemu. Zmieniło się to od czasu, gdy na czele rządu stanęli i pozyskali wpływ przeważny w Kole ludzie, należący do jednego stronnictwa.

„Oby więc — powiada *Nowa Reforma* — Koło polskie rozważyło dobrze, że zmieniły się dzisiaj zapatrywania na sprawy publiczne".

Wątpimy, czy członkowie Koła rozważą to sobie, zadowoleni z liczby pozyskanych mandatów, nie rachują się z opinią publiczną i nie zdają sobie nawet sprawy z jej nastroju. Zresztą widząc jakie sztuki wyprawiała podczas wyborów ta opinia publiczna, zwłaszcza opinia t. zw. warstw inteligentnych, nie można bardzo dziwić się posłom, że lekceważą ją sobie.

═ Korespondent warszawski *Czasu*, zaznaczając, że cenzura warszawska stała się lżejszą, pisze:

„Ale niemało taktu trzeba będzie ze strony prasy, aby w tutejszych i właśnie obecnych warunkach z podobnej swobody odpowiedni zrobić użytek, aby wskazywać na takie rzeczy, które istotnie mają poważne znaczenie, nie zaprzątać umysłów drobiazgami o drugorzednem albo trzeciorzędnem znaczeniu".

Dotychczas prasa warszawska z wyjątkiem kilku organów, politycznie niepoczytalnych, do których należy np. *Gazeta warszawska*, zachowuje się dosyć taktownie, nawet ultra-ugodowe *Słowo* stało się powściągliwszem.

Zasługuje na zaznaczenie pogląd korespondenta *Czasu* na sprawę pomnika Mickiewicza w Warszawie.

„Niestety, weszła tymczasem na porządek dzienny w całej prasie sprawa, której właściwie na drugim planie miejsce wyznaczyć należało. Zaczynamy znów rozprawiać o pomniku dla Mickiewicza w chwili, kiedy nawet jeszcze służba na kolejach nie odzyskała prawa przemawiania do pasażerów najzwyczajniejszą prozą polską w rodzaju: proszę o bilet — pociąg odchodzi za trzy minuty — proszę siadać do wagonów itd.

„Jakiegoż wyobrażenia nabędą o nas ci, którym polecono poinformować się o potrzebach naszego kraju, gdy się dowiedzą, że przedewszystkiem potrzeba nam obchodu paru uroczystości, a wszystko inne na dalszym stawiamy planie".

Mniejsza o to, jakiego wyobrażenia nabędą o nas ci, którym rzekomo polecono poinformować się o potrzebach kraju, ale w dzisiejszych warunkach publiczne uczczenie pamięci Mickiewicza jest poniekąd przedwczesnem i, jak już to wykazaliśmy, może przybrać niepożądany dla nas charakter manifestacyi ugodowej.

== *Gazeta sanocka*, oceniając rezultat wyborów powiada, że niepowodzenie nie powinno osłabić dążeń stronnictwa ludowego, ale owszem, zachęcić je do dalszego działania — i tak dalej rozumuje:

„Celem stronnictwa, które lud do pracy dla narodu powołać pragnie, które chce uczynić go dodatnim czynnikiem w życiu tego narodu, może być tylko rzetelne dobro tego ludu, będące zarazem dobrem całego narodu".

Rozwinąwszy szerzej tę myśl, *Gazeta sanocka* zaznacza następnie:

»Hasło, pod którem do walki z istniejącym porządkiem rzeczy przystąpiono — do tej wyżyny się nie wzniosło:

„Pospolite, egoistyczne hasło „interesów ludu" wielką myśl najznakomitszych obywateli kraju, myśl twórców konstytucyi 3-go maja, zastąpić miało. Z kwestyi obchodzącej cały polski naród zrobiła się kwestyjka prowincyonalna w granicach szmerlingowskiej konstytucyi. To też na samym początku ruchu ludowego słyszymy hasła kosmopolityczne, ogólne, nienawiść klasową — „precz ze szlachtą".

„O interesach narodu nie słyszymy niczego, narodowość w całej działalności znajduje się na drugim planie.

„To zupełne pominięcie narodowości a przynajmniej zepchnięcie jej na ostatnie niemal miejsce było pierwszem zboczeniem z właściwej drogi; przewódcy starali się później błąd ten naprawić i nadać wiecom charakter narodowy, ale stało się to pod wpływem uwag ze wszystkich stron robionych i nie było szczerem.

„To pierwsze i zasadnicze zboczenie z drogi, to pominięcie patryotyzmu zaważyło niemało w losach stronnictwa ludowego; przedewszystkiem bowiem patryotyczne warstwy narodu musiały się zachować z wielką rezerwą względem nowego ruchu, nie wiedząc, kogo to przywódcy nowego ruchu prowadzą na agorę? Czy nowych, pełnych świeżego zapału dla ogólnej sprawy obywateli kraju, zdolnych podsycać słabo żywiony znicz narodowego życia, czy ludzi zdolnych do poświęceń, przejętych poczuciem obowiązku dla ojczyzny — czy ludzi z kosmopolitycznemi hasłami na ustach, z pretensyami zamiast z poświęceniem — ludzi, dla których narodowość jest rzeczą najmniej ważną ze wszystkich".

Jest w tem, co mówi *Gazeta sanocka* sporo prawdy, ale zarazem sporo zarzutów nieuzasadnionych. Bo jeżeli, jak słusznie gazeta twierdzi »dobro ludu jest zarazem dobrem całego narodu«, to hasło obrony interesów ludu nie może być »hasłem egoistycznem«, w znaczeniu klasowem.

Nie zgadza się również z prawdą, że jedną z przyczyn niepowodzena stronnictwa było wstrzemięźliwe zachowanie się »patryotycznych warstw narodu«. Raczej powiedzieć można, że zbytnie liczenie się z opinią tych warstw, przywłaszczających sobie monopol patryotyzmu i wskutek tego osłabienie społecznego charakteru stronnictwa zaszkodziło mu przy wyborach.

== Wydawany na Śląsku austryackim przez pastora Michejdę *Przegląd polityczny* dowodzi, że socyaliści będą w Radzie państwa pożyteczni, bo »żądań i celów swoich nie przeprowadzą«, natomiast krytyką stosunków społecznych, wykazywaniem krzywd, nieustannem domaganiem się naprawy i zmiany mogą popchnąć parlament do reform pożądanych. Oryginalnem jest zakończenie tego artykułu:

„W końcu jeszcze jedna uwaga. Socyalnych demokratów wysłały do Rady państwa prawie wyłącznie słowiańskie kraje, a większość ich jest słowiańską. Jeżeli socyalni demokraci są, jak powiadają, zastępcami robotniczego ludu, więc w Austryi ludem roboczym są Słowianie, jeżeli zaś według socyalnej demokracyi panowanie należy do ludu robotniczego, więc i w Austryi należy panowanie i przyszłość do Słowian. A jeszcze jedno. Jeżeli Dr. Adler, któremu podobno w Czechach chce ustąpić któryś socyalny demokrata, nie wnijdzie do Rady państwa, to Polak, Ignacy Daszyński, będzie przywódzcą socyalno-demokratycznej frakcyi. Sprawami zewnętrznemi monarchii kieruje Polak, hr. Gołuchowski, sprawami wewnętrznemi monarchii kieruje Polak, hr. Badeni, a sprawami stronnictwa, które chce społeczeństwo przeobrazić, Polak Ignacy Daszyński. Przecież ci Polacy nie są jacy tacy!"

Na Śląsku i taki argument przyczynić się może pośrednio do rozbudzenia poczucia narodowego w ludności robotniczej.

== P. Kennemanna z Klenki, jednego z trzech przewódzców bractwa H. K. T. spotkała przykra niespodzianka. *Dziennik kujawski* opowiada, że agenci Niemcy, werbujący ludność na roboty letnie do Saksonii, uwzięli się na dobra p. Kennemanna.

„Opowiadają oni ludowi w tych okolicach, że pan Kennemann, utworzył związek, który chce wszystkich Polaków, począwszy od dziedzica polskiego, a skończywszy na najuboższym robotniku, albo ogłodzić, albo wypędzić z Księstwa, by na ich miejsce posprowadzać Niemców. Ajenci więc radzą robotnikom polskim, zatrudnionym w dobrach tego na polskiej ziemi zbogaconego pioniera niemczyzny, nie czekać takiej smutnej ostateczności, lecz zawczasu postarać się o inny zarobek, inną pracę, i pozbyć się zależności od pana Kennemanna i jego przyjaciół z okolicy. W Saksonii, twierdzą ajenci, są lepsi Niemcy, którzy na byt biednego Polaka nie godzą, lecz go chętnie przygarniają, płacąc mu dobrze, a zatem dalej do Saksonii! Pocóż macie się męczyć i mozolić, gdy was i tak później chcą wypędzić. Niech p. Kennemann, gdy taki zawzięty na Polaków, sprowadzi sobie Niemców drogich, lub sam orze i bronuje. W Saksonii nie zabraniają wam mówić po polsku, jak się to tu nieraz dzieje!"

Wobec trudności znalezienia robotnika na wiosnę i w lecie, p. Kennemann nie jest zapewne zadowolony z takiego wyzyskania jego programu politycznego.

== W Berlinie od 1-go kwietnia wychodzić zaczyna pismo codzienne p. t.: *Dziennik berliński.* W rozesłanym wcześniej numerze okazowym znajdujemy artykuł programowy, tak określający zadanie nowego dziennika:

„W ciężkiej walce o chleb powszedni, w otoczeniu obcem, a często niechętnem, oderwane od pnia rodzinnego i rozproszone, wystawione jest wychodźtwo nasze w Niemczech na poważne niebezpieczeństwo, na utratę dóbr swoich najświętszych: narodowości, języka i religii. Nie brakło wprawdzie usiłowań, aby rozproszoną po Niemczech ludność polską obronić przed niebezpieczeństwem wynarodowienia i utraty wiary ojców; zdziałano pod tym względem w latach ostatnich, mianowicie w Berlinie, wiele dobrego. Usiłowania te nie mogły jednakże dotąd wydać zupełnie zadowalniających owoców,

bo brakło organu, któryby ześrodkowywał w sobie starania jednostek, był pośrednikiem i łącznikiem pomiędzy ludnością emigracyjną i pomiędzy nią a krajem. Organem takim, który będzie bronił narodowych, religijnych i materyalnych interesów emigracyi polskiej w Niemczech, łączył poszczególne grupy i kolonie do wspólnej pracy i do wspólnej walki z wrogimi żywiołami, a mianowicie z międzynarodowym socyalizmem, organem, który utrzymywać będzie styczność i wymianę myśli pomiędzy wychodztwem a krajem, ma być *Dziennik berliński*."

Wątpimy czy socyalizm, chociażby międzynarodowy, można, zwłaszcza w Niemczech, zaliczyć w pierwszym rzędzie do wrogich nam żywiołów. Oświadczenie *Dziennika berlińskiego* stoi zresztą w sprzeczności z zapewnieniem, że będzie starał się skupiać Polaków »bez względu na stan i zapatrywania społeczne i polityczne«.

Zaznaczenie walki z socyalizmem, jako głównego zadania pisma polskiego, stwierdza pośrednio wiadomość, podaną w *Vorwärts*, że pieniądze na nowy dziennik daje p. Kościelski, który już podczas akcyi ugodowej chciał politykę narodową polską zaprządz do wojowania z »prądami przewrotowymi.

Kierownikiem *Dziennika berlińskiego* ma być poseł ks. Wawrzyniak. Z powodu tej wiadomości *Orędownik* pisze:

Sojusz posła ks. Wawrzyniaka z p. Józefem Kościelskim to o tyle ciekawy objaw, że ks. Wawrzyniak w pewnych chwilach i w pewnych okolicach solennie się wypiera polityki partyi dworskiej. W sprawach publicznych nie ma nic wstrętniejszego jak — mieszane małżeństwo. W Berlinie powinni wiedzieć: kto stoi po za tą gazetą?

— *Związek chłopski*, organ zachowawczego stronnictwa chłopskiego, oceniając wybory galicyjskie, tak pisze z powodu samowolnego postawienia przez stańczyków w Krakowie kandydatury prof. Kasparka.

„Dobry ty jesteś, komitecie centralny, ale... dla chłopa dobry, dopóki nam służysz. Wiara, ojczyzna, kościół dobre są, ale gdy nam służą wcale; dobry był im i Luter, gdy przez luterską wiarę zabrali dobra kościelne; dobry potem był i katolicyzm i wrócili doń, gdy dóbr kościelnych nie trza było wrócić, a chłopa można było dusić; dobre będzie i prawosławie i car, gdy będą korzyści".

„Dobry i ten rząd, który im służy, dobra im solidarność, dopóki w Kole polskiem rządzą".

Pogląd swój na działalność stańczyków streszcza *Związek chłopski* w następującem zdaniu:

„Stańczyki to sekta, która zatruwa nasze życie kościelne, nasze życie społeczne, nasze życie ekonomiczne, nasze życie narodowe".

— Strach ma wielkie oczy. W Katowicach przytrzymano jakiegoś człowieka z fałszywym paszportem rosyjskim i odstawiono go do granicy rosyjskiej. Człowiek ten był Polakiem, więc *Kattowitzer Zeitung*, węsząc w tem zajściu jakiś spisek, pisze:

„Zachodzi podejrzenie że ów człowiek pochodził z Warszawy i miał stosunki z polskiemi towarzystwami w obwodzie przemysłowym na Górnym Ślązku".

Ma się rozumieć, wiadomość, w tej formie podana, nie może być sprostowaną i, jak się wyraża *Katolik*, »pokula przez całe Niemcy«, t. j. obejdzie prasę niemiecką, dając powód do alarmujących artykułów o agitacyi polskiej na Śląsku. Niech sobie Niemcy trochę żółci upuszczą, i niepotrzebnie wcale polskie pisma miejscowe zarzekają się, że żadne z towarzystw polskich nie utrzymuje stosunków z Warszawą.

— Z powodu projektu sprowadzania kolonistów na Bukowinę, o którem w innem miejscu piszemy, czerniowieckie pismo ruskie *Bukowyna* takie wygłasza zdanie:

„Jeżeli tym projektem (p. Mlcocha) nie zajmie się rząd, to zajmą się nim właściciele wielkich posiadłości, albowiem gospodarstwom ich grozi ubytek sił roboczych. Wówczas doczekamy się tego, że kiedy nasz chłop będzie zmuszony(?) uciekać z kraju, to tutaj na jego posiadłościach rozgospodaruje się Czech, albo Niemiec. Ale ze strony Czechów i Niemców nie zagraża takie niebezpieczeństwo, jak ze strony Mazurów, których już chcą wpakować na Bukowinę w miejsce wyrugowanego(?) ruskiego chłopa... Tak zasiano Galicyę koloniami Mazurów, którzy trzymają się tam bynajmniej ani większą od Rusina pracowitością, ani większą zapobiegliwością, ale raczej pomocą i ulgami (?), jakich na każdym kroku doznają od wszechwładnych Polaków galicyjskich, co pragną fundować w Galicyi podwaliny dla przyszłej „Ojczyzny". Obecnie w taki sposób chcą zasiać Bukowinę swymi kolonistami, ufając w pomoc Niby-Polaków, czyli ormiańskich właścicieli dóbr na Bukowinie. A ty, biedny chłopie ruski, umykaj nietylko do Kanady, ale choćby nawet djabłu w paszczę!"

Tak pisze organ »ugodowych« Rusinów, którym nasi politycy wciąż robią niepotrzebne ustępstwa. I teraz zapewne znajdą się tacy, którzy dowodzić zaczną, że nie należy popierać kolonizacyi polskiej na Bukowinie. Naszem zdaniem na głosy pism ruskich w tej sprawie niepowinniśmy wcale zwracać uwagi. Ruch emigracyjny ludności polskiej na wschód jest w dzisiejszych warunkach objawem naturalnym. Przecież nikt nie myśli o rugowaniu ruskiego chłopa, ani tymbardziej o nadawaniu kolonistom jakichś przywilejów. Ma jednak kolonizacya polska na Bukowinie i w Galicyi wschodniej niewątpliwie znaczenie polityczne. Wzmocnienie żywiołu polskiego na Rusi wytwarza warunki dla zupełnego równouprawnienia obu narodowości przez to właśnie, że uniemożliwia podział Galicyi na dwie części polską i ruską, w której ludność polska byłaby upośledzoną, że zmusza polityków ruskich do szukania wraz z nami warunków zgodnego wspólnego pożycia na zasadzie równych praw.

— Dr. Żywny z Ołomuńca w imieniu narodu czeskiego przyrzeka *Warszawskiemu Dniewnikowi* surowe ukaranie Polaków za nadużycia wyborcze w Galicyi.

„Naród czeski zamierza polecić swoim przedstawicielom, żeby natychmiast po zwołaniu Rady państwa zażądali, zgodnie z ustawą konstytucyjną, pociągnięcia do odpowiedzialności hr. Badeniego, unieważnienia wszystkich wyborów galicyjskich i dymisyi ministra. Naród czeski będzie się domagał utworzenia tymczasowego ministeryum na czas nowych wyborów w Galicyi, któreby dało dymisyę namiestnikowi ks. Sanguszce, mianowało namiestnikiem generała cesarskiego (?) usunęło od urzędów wszystkich polskich naczelników powiatowych (?) i zastąpiło ich nowymi, wziętymi z krajów niemieckich i słowiańskich".

Nie przytaczamy dalszego ciągu elukubracyj p. Żywnego. Ma się rozumieć, ani naród czeski, ani jego przedstawiciele o niczem podobnem nie myślą, chociażby dla tego, że mają, jak się mówi, olej w głowie. Ale inaczej zapewne sądzą czytelnicy *Warszawskiego Dniewnika*, którzy wcale nie wiedzą, że ów doktór Żywny, przemawiający w imieniu narodu czeskiego, jest osobistością marną, dziennikarzem tuzinkowym, nie mającym żadnego znaczenia ani w prasie, ani w społeczeństwie czeskiem. Wzdycha on niewątpliwie do zyskownej posady starosty w Galicyi i pragnienia swojej wygłodzonej wyobraźni przedstawia, jako życzenia narodu czeskiego. No, ale nie dał Pan Bóg Żywnym rogów i hr. Badeni z ks. Sanguszką mogą chyba spać spokojnie.

= *Nord*, w formie korepondencyi z Petersburga, zamieścił komunikat półurzędowy w odpowiedzi na głosy dzienników galicyjskich, które z powodu przemówienia ks. Imerytyńskiego wysnuwają dowolne wnioski, że rząd rosyjski zamierza zmienić politykę swoją względem ludności polskiej.

„Rząd cesarski — powiada *Nord* — nie myśli wcale zmieniać swej polityki. Ściśle legalne i przychylne Polakom słowa ks. Imerytyńskiego powtarzają tylko poglądy, wyrażone w reskrypcie cesarskim do hr. P. A. Szuwałowa. Rząd nie zmieni sposobu postępowania i nie zrobi żadnego ustępstwa marzeniom utopijnym mieszkańców nadwiślańskich. Ponieważ jest to sprawa ostatecznie zadecydowana, rząd nie odstąpi na krok od dotychczasowego planu działania".

Należy zaznaczyć, że organ urzędowy rosyjski nazywa stale Polaków „nadwiślanami" (*vistuliens*) a Królestwo polskie — krajem nadwiślańskim.

Przyrzeka łaskawie *Nord*, że jeżeli ludność »nadwiślańska« szczerze będzie okazywać Rosyi życzliwość, to:

„Rząd gotów będzie zrobić dla kraju to wszystko, co nie sprzeciwia się ogólnym interesom państwa rosyjskiego i co zarazem może przyczynić się do postępu i dobrobytu pomienionej części cesarstwa."

Nakoniec zaznacza, że ks. Imeretyński otrzymał takie same instrukcye, jakie były dane hr. Szuwałowowi i zapewnia, że:

„Rosya i rząd zawsze zachęcały ludność nadwiślańską do prawidłowego (*correct*) postępowania i nie odmówią jej niczego, co okaże się możliwem. Taki jest stan rzeczy i nie należy zaciemniać go fałszywymi komentarzami"

= Złożenie z urzędu przez landrata gnieźnieńskiego trzech członków dozoru szkolnego, o czem w innem miejscu piszemy, oburzyło nawet prasę niemiecką Zdaniem *Posener Zeitung*:

„Sprawa ta niewątpliwie poruszoną zostanie w sejmie, a spodziewamy się, że swoboda w postanowieniach dozorów szkolnych obwarowaną zostanie w sposób energiczny wobec pana landrata gnieźnieńskiego. Sądząc z zapału p. ministra w obronie prezesa hanowerskiego, nie biorącego udziału w 100-letniej uroczystości pamiątkowej, uważać można za pewnik, że minister nie widzi w tem zbrodni, jeżeli się ktoś usuwa od festynów patryotycznych".

Do słów powyższych gazety niemieckiej dodaje *Dziennik poznański* następujący komentarz:

„Tę uwagę ostatnią nastręczamy naszym episyerom, którzy sądzą, że zyskają na politycznej opinii i trwałe będą mieli korzyści z objawów, trącących reklamą i chęcią wyzysku kłamanych uczuć."

Z OBCEGO ŚWIATA.

ZWIĄZEK WSZECHNIEMIECKI.

W Lipsku istnieje *Alldeutscher Verband*, w obec którego towarzystwo H. K. T. jest bardzo umiarkowanem i humanitarnem. Na ostatniem miesięcznem posiedzeniu Związku wszechniemieckiego przemawiał niejaki p. Spitzner o konieczności wytępienia radykalnego żywiołów obcych w społeczeństwie niemieckiem. »Trzeba energicznie zabrać się do dzieła — wołał p. Spitzner — i z pomocą wielkich, radykalnych środków zacząć pracować w celu zupełnego wytępienia polskości, gdyż inaczej Niemcy nigdy nie będą miały spokoju«. Rząd dotychczas głaskał Polaków i robił im ustępstwa, ale teraz wchodzi na dobrą drogę i działa w myśl zasady — Niemcy dla Niemców.

Nie można jednak poprzestawać na półśrodkach, trzeba tępić polskość za pomocą »środków wielkich«. Najlepszym, a właściwie jedynym środkiem jest »zniesienie języka polskiego w kościele, szkole, na zebraniach, w życiu handlowem i domowem«, czyli inaczej — zakaz mówienia po polsku. Mowa zrobiła na obecnych, jak pisze *Leipziger Tageblatt*, »kolosalne wrażenie«, pod którego wpływem wysłali do kanclerza Hohenlohego następujący telegram:

»Zebrani w Lipsku członkowie »Wszechniemieckiego Związku« wyrażają uniżenie W. Książęcej Mości uznanie z powodu energicznej postawy, jaką rząd zajął w kwestyi polskiej i żywią nadzieję, że król. rząd państwowy mieć będzie w działalności swej zawsze na oku dawne życzenie wszystkich narodowo czujących Niemców — ostatecznego zdobycia wschodu dla narodowości niemieckiej«.

MOŻLIWOŚĆ NOWYCH WYBORÓW.

Zaledwie zebrała się Rada państwa w Wiedniu, rozeszły się pogłoski o możliwości jej rozwiązania. Rząd może mieć zawsze większość, nawet dowolną, ale każda z tych większości nie jest odpowiednią do załatwienia ważnych spraw państwowych, nie cierpiących zwłoki.

Hr. Badeni liczył, że uda mu się doprowadzić do skutku porozumienie się między Niemcami i Czechami w sprawie języka urzędowego, a warunki tego porozumienia były już w ogólnych zarysach ułożone i przez obie strony przyjęte. Tymczasem Czesi podnieśli nieco wymagania a Niemcy liberalni zaczynają się cofać. Rząd wprawdzie może wytworzyć większość przy pomocy antysemitów, ale i ta kombinacya nie jest dla niego z wielu względów dogodną i mogłaby zaszkodzić przeprowadzeniu umowy z Węgrami.

Bardzo więc jest prawdopodobnem lada chwila przesilenie ministeryalne, albo rozwiązanie Rady państwa. Wprawdzie trudno odgadnąć, jaką korzyść dałyby hr. Badeniemu lub jego następcy nowe wybory, których rezultat nie wieleby się różnił od wyniku świeżo dokonanych. Zmiana mogłaby być dosyć znaczną chyba tylko w Galicyi, ale gdyby była — to nie wypadłaby na korzyść rządu.

Mimowolnie nasuwa się przypuszczenie, że pogłoski o rozwiązaniu Rady państwa mają na celu zastraszenie posłów, którzy z wielkim trudem i kosztem pozyskali mandaty — aby byli powolniejsi dla rządu. Obawy członków Koła polskiego są w danym wypadku najbardziej uzasadnione, to też niektórzy zdobywają się na »heroizm rozpaczy« i dowodzą, że jeżeli Badeni nie umie zlepić większości, to niech ustąpi ze stanowiska, ale niech nie rozwiązuje Rady państwa. Podobno nawet klika, wodząca rej w Kole, intryguje przeciw hr. Badeniemu i chce koniecznie sprowadzić jego upadek w nadziei, że w ten sposób zabezpieczy swoje mandaty.

Pomieszanie stronnictw tak jest wielkie, że dotychczas nie mogą się porozumieć co do wyboru prezydyum izby. Naturalnie, wytworzenie z takich luźnych i drobnych grup trwałej kombinacyi jest zadaniem bardzo trudnem.

W każdej więc chwili nastąpić może przesilenie rządowy lub rozwiązanie Rady państwa. Ostatecznie przez kilka miesięcy łatwo obyć się bez parlamentu, a zanim nowe wybory nastąpią, stosunki jakoś się ułożą.

Taka niepewność trwać będzie czas dłuższy — jeśli nawet przesilenie na razie zostanie zażegnanem — co z pewnością niepokoić musi posiadaczy mandatów galicyjskich. Dziś — jutro położenie się wyjaśni, ale za kilka dni, tygodni lub miesięcy ta sama kombinacya może się znowu powtórzyć. Dlatego właśnie powyższe szczegóły zaznaczamy, chociaż w chwili, kiedy zostaną wydrukowane, mogą już utracić wartość aktualną.

OBURZENIE GREKÓW.

Grecy, jakkolwiek występuje przeciw nim sześcio-państwowy »koncert europejski«, oburzeni są szczególnie na Niemcy i Rosyę. Niemców poturbowano nawet trochę w Atenach, a Rosyanie, nie chcąc dzielić ich losu, wynosszą się ze stolicy greckiej, a nawet ze Smyrny i innych miast, w których korzystać mogą przecie z opieki władz tureckich.

Zamieszkali w Konstantynopolu Grecy odprawili nabożeństwo dziękczynne z powodu wypadku na okręcie rosyjskim *Sysoj Wielikij*; jak wiadomo ofiarami tego wypadku padło 15 ludzi.

Caryca wdowa, wbrew urzędowej polityce Rosyi, wyraża wciąż dworowi ateńskiemu swoje sympatye dla sprawy greckiej. Zapewne za jej radą Mikołaj II dla pozyskania sobie na wszelki wypadek sympatyi greckich posłał do Aten 50.000 rs. dla zbiegów z Krety. Ale rząd ofiary tej nie przyjął, bo gazety ateńskie z oburzeniem nazwały ją „srebrnikami Judasza«. Pod wpływem powszechnego nastroju opinii król Jerzy i królowa Olga zrzekli się szefostwa pułków rosyjskich swego imienia,

Niektóre dzienniki greckie odgrażają się, że ich ziomkowie, licznie zamieszkali w południowej Rosyi, jeżeli rząd petersburski stanowczo oświadczy się za Turcyą, mogą sprawić mu niemało kłopotu. Są to, ma się rozumieć, przechwałki, ale świadczą one o usposobieniu Greków.

UNIWERSYTET DORPACKI.

Jak wiadomo, w r. 1890 rząd rosyjski przystąpił do rusyfikacyi, niemieckiego uuiwersytetu w inflanckim Dorpacie. Był to jedyny nierosyjski uniwersytet, jaki pozostał w państwie rosyjskiem (z pominięciem Finlandyi) po zreformowaniu w r. 1869—71 warszawskiej Szkoły Głównej. Rektorem nowego, już „jurjewskiego« uuiwersytetu (ukazem carskim Dorpat przemianowano na »Jurjew«) został znany *obrusitiel* warszawski p. Budiłłowicz, a katedry z których nauczały pierwszorzędne nieraz siły naukowe, zaczęły przechodzić w ręce figur nic wspólnego częstokroć z nauką nie mających, a nawet zwykłych szubrawców, jak np. dziekan wydziału lekarskiego, Wasiliew, o którym w swoim czasie pisaliśmy. Skutkiem tego i młodzież zaczęła z Dorpatu emigrować, i dziś można powiedzieć, że świetna niegdyś wszechnica znajduje się obecnie w całkowitym upadku.

Nie przeszkadza to działaczom rosyjskim głosić, że uniwersytet dorpacki skorzystał pod każdym względzm na reformie rusyfikacyjnej, oraz krytykować z właściwą sobie bezczelnością dawnej gospodarki niemieckiej, której nie można nie przyznać, że była znakomita. Sam obecny rektor, znany, jako miernota naukowa i nieczysta moralnie osobistość, wsławiony już na gruncie dorpackim kradzieżą drzewa uniwersyteckiego, którą mu wytknął publicznie jeden z profesorów, ogłosił taką krytykę dawnych porządków uniwersyteckich w »Dzienniku ministerstwa oświaty«, gdzie dowodził, że świetny niegdyś uniwersytet dorpacki skutkiem separatystycznych dążności niemieckich, przez ostatnie trzydzieści lat swego niemieckiego żywota (1860—1890 r.) stopniowo upadał i dopiero od r. 1890, od chwili rozpoczęcia rusyfikacyi, zaczął się nanowo podnosić.

Obecnie *St. Pietierburgskija Wiedomosti* zamieszają odpowiedź p. Budiłłowiczowi, pochodzącą od p. H. v. Oettingena, poprzednika pana B. na stanowisku rektora i zatytułowaną powcipnie: „Odpowiedź byłego rektora uniwersytetu *dorpackiego* rektorowi *jurjewskiego* uniwersytetu". P. v. Oettingen wytyka obecnemu rektorowi szereg fałszów faktycznych, a następnie wykazuje mu, że poglądy jego nie wytrzymują krytyki. Nie szczędzi on też obecnej gospodarki i wykazuje smutne jej skutki. Powołując się na prawo, które powiada, że „nikt nie może być profesorem, nie zrobiwszy się znanym z prac naukowych z przedmiotów swej katedry oraz z daru wykładów", i według którego dla zostania profesorem zwyczajnym trzeba mieć stopień doktora, nadzwyczajnym zaś profesorem i docentem można być tylko, mając przynajmniej stopień magistra, p. Oet. wykazuje, że obecnie na 4-ch wydziałach, z wyjątkiem lekarskiego, z 35 zamianowanych (po rusyfikacyi) profesorów było: 19 mających tylko stopień kandydata (!), 10 magistrów, a tylko 6 doktorów. „Z tego przykładu — powiada słusznie autor — można sądzić o podniesieniu poziomu naukowego uniwersytetu jurjewskiego!"

Dalej „Odpowiedź" wskazuje, że przez jedno dziesięciolecie (1860 — 1870) uniwersytet wydał 14 ludzi którzy zajęli w przyszłości stanowiska profesorów zwyczajnych na rozmaitych uniwersytetach niemieckich, a następnie wylicza cały szereg profesorów dorpackich znanych światu naukowemu ze swych prac wartościowych. Istotnie nazwiska to poważne. Spotykamy tu w dziale nauk prawnych takich ludzi, jak: Bulmering, Lexis, A. Wagner, O. Schmidt, Erdmann i inne; w naukach lekarskich i przyrodniczych: Dragendorf, Stieda, Karol Schmidt, Al. Schmidt, Bergmann, Schmiedeberg, Kraepelin, Rauber, Graewingk, Braun, Kennel i w. in; za nimi idą matematycy, filologowie, historycy — wszystko uczeni jeżeli nie pierwszorzędnej wartości, to w każdym razie poważnie przedstawiający rozmaite gałęzie wiedzy.

Przechodząc do zasłużonych dla nauki wychowańców uniwersytetu, p. Oet. między b. studentami wydziału fizyczno-matematycznego wymienia dra Dybowskiego, obecnego profesora we Lwowie, Ostwalda, znakomitego chemika, prof. w Lipsku; Grenberga fizyka i in. »Wielu ze studentów tego okresu (1860 — 1890) — powiada autor — stało się potem znanymi, jako uczeni podróżnicy: E. Bretschneider, B. Dybowski, A. Czekanowski, von Müller, von Dorandt, W. Dybowski, A. Bunge (syn), Toms, Petersen, Ferd. Schmidt.«

W następstwie »Opowiedź« wykazuje, że od r. 1800 do 1890 liczba słuchaczów stale wzrasta, przedstawia cyfry następujące: w r. 1879 — 1.048 stud.; w r. 1885 — 1.704, a w 1890 — 1.812. Od tej chwili, od chwili rusyfikacyi cyfra ta szybko opada, jak świadczą dane poniższe:

w r.	1890 —	1812	studentów
„ „	1891 —	1723	„
„ „	1892 —	1670	„
„ „	1893 —	1546	„
„ „	1894 —	1514	„
„ „	1895 —	1301	„

Nie licząc farmaceutów, mamy w r. 1890 — 1664, a w r. 1895 — 1064 stud. co znaczy, że w ciągu 5 lat ubyło ich 600 czyli 35%

»Zasługuje na uwagę — powiada p. Oettingen — to, że wbrew twierdzeniu p. Budiłłowicza nawet liczba studentów pochodzenia rosyjskiego i polskiego zmniejszała się z wprowadzeniem wykładu w języku rosyjskim....« Wzrosła tylko liczba żydów (skutkiem ograniczeń na innych uniwersytetach rosyjskich. *Przyp. Red.*)

Autor krytykuje także prześladowanie przez obecnych kierowników szkoły — korporacyi studenckich. »Pytamy — powiada on — kto ma jaką korzyść z tego, że dla studenta pobyt na uniwersytecie przystaje być pociągającym, że pozbawia się go tego skarbu wspomnień o młodych latach bez troski, które później służą za pociechę w ciężkich chwilach życia?«

B. rektor dorpacki jest tyle delikatnym, czy też tyle zmuszony jest liczyć się z miejscem, w którem swą odpowiedź drukuje, że oszczędza p. Budiłłowiczowi wyliczenia szeregu skandalów, które stanowią lwią cześć historyi

uniwersytetu od chwili jego zrozumienia i o których wspominaliśmy już parokrotnie.

Cała ta sprawa jest niezmiernie pouczającą, zwłaszcza dla naszego społeczeństwa, które ma także swój Dorpat w b. szkole Głównej, a obecnym uniwersytecie warszawskim.

KRONIKA.

= Towarzystwo „Szkoły ludowej“ miało z końcem lutego b. r.: w kapitale zakładowym 30.130 zł. 34 ct., w funduszu szkoły polskiej w Białej 22.518 zł. 50 ct. (oprócz 10.000 zł. uchwalonych przez Sejm i 15.000 przyrzeczonych z fundacyi kościuszkowskiej), oraz 993 zł. 39 ct. w funduszu bieżącym.

= „Sokół“ lwowski, pierwszy w Galicyi, obchodził 30-tą rocznicę założenia towarzystwa. Liczy on obecnie 1317 członków.

= W Paranie, w Brazylii powstaje pierwszy klasztor polski. Sześciu Salezyanów, z pochodzenia Polaków, ma osiąść w kolonii S. Matheus i założyć tam szkołę polską.

= Prokuratorya pruska wytoczyła teraz proces redaktorowi naczelnemu *Kuryera poznańskiego* p. Kanteckiemu w sprawie, w której został już skazany redaktor odpowiedzialny. Podobny proces miał p. Kulerski, redaktor *Gazety grudziądzkiej.* Jest to nowy środek, a raczej stary, ale nanowo zastosowany dokuczenia prasie polskiej

= Były namiestnik i minister Zaleski i hr. M. Borkowski zostali mianowani członkami izby panów. Nazwisko hr. Borkowskiego nabrało rozgłosu przed 3 laty, podczas pobytu cesarza Franciszka Józefa we Lwowie, opowiadano bowiem że odmówił udziału w bankiecie, wydanym wówczas z powodu urodzin cara Aleksandra III.

= Ks. Stojałowski oświadcza, że 21 kwietnia wyjedzie do Rzymu z prośbą o ponowne rozpatrzenie jego sprawy. Przyjaciel jego, Niemiec, ks. Eichhorn wzywa publiczność do składek na koszta tej podróży.

= W prowincyach polskich Prus powstawać zaczęły liczne towarzystwa „mężów katolickich“, które mają niewątpliwie dążności germanizacyjne. Księża germanizatorzy namawiają do zakładania takich towarzystw, ale sami nie stają zwykle na czele. Pisma nasze ostrzegają „mężów polskich“ żeby nie dali się wciągać do niemieckich związków mężów katolickich.

= Dr. Lewakowskiemu i prof. Jegermanowi z powodu wiecu w Jaworowie wytoczono sprawę o zaburzenie spokoju publicznego. Z wezwaniem p. Lewakowskiego do śledztwa czekano widocznie na rezultat wyborów we Lwowie.

= „Związek Polaków w Niemczech“ urządził w Bochum walne zebranie. Gdy przewodniczący zebrania, p St. Adamski zagaił zebranie pochwaleniem Pana Boga i zawezwał zgromadzonych do odśpiewania pieśni kościelnej, wtedy wezwał dozorujący zebrania komisarz policyjny przewodniczącego, aby obradowano po niemiecku. Zaprotestowano przeciw takiemu żądaniu, podnosząc, że byłoby to najzupełniej bezprawnie, gdyby następstwem polskich rozpraw miało być rozwiązanie zebrania. Na to oświadczył dozorujący urzędnik, który zna język polski, iż można obradować po polsku, ale prosił, o mówienie powoli i wyraźnie, żeby wszystko mógł zrozumieć.

= W szkołach w Poznańskiem rozdawano dzieciom broszurę niemiecką p. t. *Kaiser Wilhelm* I, obrażającą uczucia katolickie. *Goniec Wielkopolski* wzywa rodziców, żeby tę broszurę zbiorowo odsyłano władzy szkolnej.

= Dotychczas wniesiono przeszło 30 protestów przeciw wyborom w Galicyi, głównie w kuryi IV i V.

= Okazało się, że w Tczewie hakatyści połamali nie polskiego orła, ale herb... miasta Frankfurtu, w którym znajduje się orzeł biały.

= W powiecie gnieźnieńskim zostało tylko 10 Polaków, właścicieli większych majątków.

= W Petersburgu były rozruchy studenckie z powodu urządzenia nabożeństwa żałobnego za duszę studentki, która odebrała sobie życie w więzieniu śledczem. Dzienniki niemieckie piszą, iż przyczyną samobójstwa tej studentki było zgwałcenie jej przez oficera żandarmskiego. Drugi to już wypadek podobny w ciągu krótkiego czasu.

= Ludność miasta Wilna wynosiła w r. ub. 152.550 głów, w tej liczbie było 45.401 czyli 29·7% katolików, 24.038 (16.4%) prawosławnych i 77.151, (50.5%) żydów. Największy przyrost, bo 1.43% w ciągu roku wykazali katolicy, podczas gdy prawosławni tylko 0.57%, a żydzi 0.76%.

= Oddziałem austryackim, wysłanym na Kretę, dowodzi Polak, podpułkownik Guzek. Dowódzcą batalionu wojsk greckich jest tamże major Izydorowski.

= W Sztokholmie zmarł niedawno Juliusz Mankel, znany autor szwedzki, z zawodu żołnierz, szczery przyjaciel Polaków. Mankel brał czynny udział w ostatniem powstaniu i niejednokrotnie później o sprawie polskiej pisał.

= Tygodnik włoski *La vera Roma* zamieścił artykuł, p. t. „Prześladowania w Polsce“ (*Persecuzione in Polonia*), poświęcony polityce hakatystów w Poznańskiem.

= Do Petersburga wysłali deputacyę włościanie b. unici z guberni siedleckiej. Tam odradzono im podawanie prośby do cesarza, ale ktoś wyrobił im audyencyę u bawiącego jeszcze wówczas w Petersburgu ks. Imeretyńskiego, który oświadczywszy im, że na razie nic dla nich zrobić nie może, polecił aby zgłosili się do niego w Warszawie, z warunkiem, że wybiorą z pośród siebie 2 lub 3 delegatów. Włościanie prosili, żeby im to polecenie wydał na piśmie, co książę uczynił. Po powrocie do domu większą część włościan aresztowano, delegatom jednak udało się ukryć. Ci przybyli do Warszawy i przed tygodniem mieli być na audyencyi, o której rezultacie nie mamy dotychczas wiadomości.

= Z Warszawy nam donoszą, iż dyrektor jednego z gimnazyów tamtejszych wezwał do siebie nauczyciela języka polskiego, Polaka i zapytał go: w jakim języku wykłada swój przedmiot, po jakiemu mówi do uczniów i uczniowie do niego. Na pierwsze dwa pytania nauczyciel odpowiedział — że po rosyjsku, na trzecie — że uczniowie czasem mówią do niego po polsku, on zaś zawsze odpowiada im po rosyjsku. Wtedy dyrektor zaczął mu robić wyrzuty, że nie powinien rozumieć, kiedy uczniowie przemawiają po polsku i dodał: „My tu dotychczas nie otrzymaliśmy żadnego rozporządzenia o zmianie w traktowaniu języka polskiego“.

= Cenzura warszawska otrzymała polecenie, żeby przepuszczała wiadomości o nadużyciach urzędników, o ile są podane bez żadnych komentarzy.

= Do pism galicyjskich doniesiono z Warszawy o zajściu między p. Nagórką, inżynierem, współwłaścicielem biura „Mikoszewski i Nagórka“, a sztabskapitanem pruskiego pułku gwardyi Wierchowcewem. O zajściu tem otrzymujemy następujące sprawozdanie. P. N wracał wieczorem ul. Marszałkowską z biura do domu, gdy pies jego, biegnący obok, zaczął się gryźć z innym. P. N. zamierzył się na psa harapem i przypadkiem uderzył kogoś idącego za nim. Był to właśnie wspomniany wyżej Wierchowcew. Po uderzeniu rozległy się za p. N. ordynarne wymysły w języku urzędowym. P. N., nie wiedząc, o co chodzi odwrócił się z zapytaniem: „co to znaczy?“, gdy bohaterski wojak wyciągnął szablę i płatnął go przez ucho. Zamierzył się i po raz drugi, lecz jakaś pani przechodząca powstrzymała go za rękę. Lud, który począł się zbierać, był mocno wzburzony i postanowił nie pozwolić oficerowi na ucieczkę. W tym celu otoczono go i przeprowadzono aż do domu pod Nr. 25 przy ulicy Wspólnej, gdzie mieszkali znajomi oficera. Tam schronił się on do bramy. Zjawiła się policya, bramę zamknięto i po oświadczeniu, że oficer udaje się do cyrkułu, zbiegowisko rozeszło się. Aresztowano jakiegoś robotnika, ktory najgłośniej wołał: „Trzymaj Moskala, bo krew polska się leje!“

Czcionkami W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam.